

JADWIGA COURTHS-MAHLER

**tajemnicza
miłość
Anny**

OFICyna WYDAWNICZA „PROFI”

Warszawa 1991



Najmilszy Bracie, Gospodarzu Leśnego Dworu, Malarzu, Marzycielu i Wspaniały Chłopie!

Czy pamiętasz jeszcze te cudowne dni, kiedy miłość do Doroty rozpalila w Twoich żyłach szalejący płomień, a Twoje noce ograbiła ze zdrowego, kamiennego snu? Wiem doskonale, że wszystko, co nosiło inne imię niż Dorota Mylius, albo nie miało z nią jakiegokolwiek związku, budziło w Tobie bardzo umiarkowane zainteresowanie. Byłeś w tym czasie nie do zniesienia dla wszystkich ludzi, z wyjątkiem Doroty. Dotychczas nie potrafiłem zrozumieć Twojego stanu ducha - ale teraz, teraz rozumiem co czuleś. Krótko mówiąc, chcę się ożenić, i to z dziewczyną, którą darzę bezbrzeżną, gorącą miłością.

Nie rób takiej zdziwionej miny, Gospodarzu Leśnego Dworu, i nie próbuj namawiać mnie do rozważki. Twierdzisz, że jestem za młody, żeby się ożenić? Słuchaj, mam dwadzieścia osiem lat, doktor, przyszły docent, zdrowy, silny jak niedźwiedź, metr osiemdziesiąt wzrostu, nie karany i w posiadaniu odpowiednich środków finansowych. Mówiąc poważnie, Albercie, nie chcę roztrwonić uczuć w nadarzających się miłostkach. „Kobiet” nie znoszę - chcę być z kobietą; z kobietą, która mojemu życiu nada prawdziwy sens, będzie stała u mego boku twardo i zdecydowanie, której ja będę mógł się odwzajemnić całym moim silnym, niewyczerpanym uczuciem, której oddam całe serce. Tak sobie wyobrażam małżeństwo, tylko takiego związku sobie życzę.

Nie będę Ci wyliczał wszystkich zalet uwielbianej przeze mnie kobiety. Uosabia ona wszystko to, co według mnie byłoby uzupełnieniem mojego ja. Darzę ją wierną, trwałą i silną miłością, i chociaż nie powiedziałem jej jeszcze ani słowa o moim uczuciu, wiem przecież, że tęsknie oczekuje godziny, kiedy zabiorę ją do nowego domu. Moimi skrytymi sprzymierzeńcami są jej piękne, czyste oczy. Nie, nie obawiaj się, nie popadnę w nastrój poetycki, chociaż teraz byłbym nawet w stanie pisać wiersze. Na Twoje szczęście mam nad

Tobą litość.

Ale dość tego - w najbliższych dniach udam się do emerytowanego sędziego Hartwiga i poproszę go o rękę jego córki Wilmy, po czym powiem jej, że ją kocham, a każde włókno mojego jestestwa pragnie w niej widzieć moją żonę.

Jest uboga, ta moja dziewczyna, ale dzięki Bogu mój majątek jest dostatecznie duży, żeby nie czekać na czasy, kiedy będę zarabiał tyle, by zbudować mojej żonie ciepłe, bezpieczne gniazdko. Chciałbym, żeby było jej u mnie dobrze. Całe szczęście, że nasi przodkowie tak skrzętnie oszczędzali nasz stary, dobry Leśny Dwór - rok rocznie wypełniał starą dębową skrzynię niemalym groszem. Sprawileś sobie teraz sejf, bo skrzynia nie była według ciebie wystarczająco bezpieczna. Z pewnością był to słuszny pomysł. W okolicy włóczy się hołota najróżniejszego rodzaju i stara skrzynia mogłaby znaleźć amatorów, z pewnością dużo szybciej niż szczelnie zamknięty, niedostępny trezor. A jednak, kiedy w ostatnie wakacje przyjechałem do domu, trezor wydał mi się obcym ciałem, tak że ukradkiem pogładziłem starą skrzynię. Była przecież przez setki lat schronieniem majątku gospodarzy Leśnego Dworu. A teraz Anna-Dora, najmłodsza gospodyni Leśnego Dworu, przechowuje w niej pamiątki po zmarłej matce. Biedna Dorota. Jakże szkoda, że musiała umrzeć w tak młodym wieku. A ty nie chcesz widzieć na jej miejscu żadnej następczyni - ze względu na dziecko. Rozumiem to, Albercie. Nie ma kobiety, która mogłaby zastąpić Ci ją w pełni, a każda odsunęłaby Ciebie od Twojego dziecka.

Ale dość tego! Jak tam w domu? Czy Anna-Dora ma już nową opiekunkę? Wcale się nie dziwię, że niezbyt dobrze się rozumie z panną Meisenheim. Taka małostkowa, zarozumiała osoba, posiadająca wdzięk i wszelkie zalety pająka krzyżaka nie pasuje do nas.

Zwolnij ją i pozwól Annie-Dorze rosnąć jak dzikie źrebiątko, aż znajdziesz odpowiednią dla niej nauczycielkę! Już nasza dzielna pani Sonnenmann znajdzie na pewno dość czasu, żeby ze swojego stanowiska dowodzenia gospodarstwem domowym zatroszczyć się również o wszelkie naturalne potrzeby Anny-Dory. Nie będzie łatwo znaleźć odpowiednią osobę. Anna-Dora ma prawdziwie Hendrichsenowską naturę, dlatego zaakceptuje wolę wyłącznie tych ludzi, których kocha. Mimo to nie boję się o nią. Jeżeli nie znajdzie się inne wyjście, przyślesz ją, kiedy już się ożenię, na kilka lat do nas. Z radością poświęcę czas na jej edukację, a od mojej przyszłej żony będzie mogła nauczyć się wdzięku, będącego ozdobą każdej kobiety i niezbędnej oglady. Z pewnością nie zabrakłoby jej ciepła i miłości. Na razie jednak najlepszym miejscem jest dla niej Leśny Dwór. Kiedy porównuję Annę-Dorę z jej rówieśniczkami, spotykanymi tutaj w Berlinie, jestem bardzo szczęśliwy, że z jej dwunastoma laty nadal jest dzikusiem, którego nie spętała żadna tresura. Dziewczęta w jej wieku

spoglądają już kokieteryjnym i wszytkowiedzącym wzrokiem, flirtują i zachowują się tak prowokacyjnie, że ja się chwytam za głowę. Nie pozwól Annie-Dorze pozostać jeszcze w jej spokojnej, rajskiej nieświadomości.

Na tym chciałbym zakończyć ten mój niekończący się list. Mógłbym jeszcze całe tomy pisać o tym, co wypełnia moje serce i co związane jest z Wilmą Hartwig, ale wyobraźnia podsuwa mi wizerunek Twoich przenikliwych oczu malarza, otoczonych siateczką zmarszczek śmiechu. Mógłbyś odplacić mi się za kpiny, którymi jako głupi chłopak ranilem Twoje uczucia, kiedy mówiłeś o Dorocie. Lepiej więc zachowam milczenie i przywiozę Wilmę do Leśnego Dworu, kiedy już będzie moją narzeczoną. W Leśnym Dworze powinna otrzymać święcenia, aby miejsce to stało się jej domem i aby stała się prawdziwą panią Hendrichsen. Wierną, szczerą i oddaną.

Pozdrów Annę-Dorę, to dzikie źrebiątko, a także strażniczkę Leśnego Dworu, Panią Sonnenmann! Tobie, Stary Druhu, ściskam dłoń.

Twój Klaus.

Klaus Hendrichsen odrzucił pióro, wsadził list do koperty i podniósł się szybko. Rozłożywszy ramiona przeciągnął się i przesunął dłońmi po niesfornych, ciemnych włosach, gwałtownie odrzucając przy tym głowę. Potem z wyraźnym zadowoleniem, wykonał kilka gimnastycznych ruchów ramionami, jak gdyby zrzucając z siebie uciążliwość długiego siedzenia przy biurku.

Pogwizdując przeszedł do leżącej obok sypialni i przygotował się do wyjścia.

Na zewnątrz złote promienie słoneczne rozświetliły ulice. Mijający się w pośpiechu ludzie mieli jaśniejsze niż zwykle twarze. Czar maja wszędzie wyzwał radość życia. Ulicznicy tłukli się ze sobą ze zdwojoną energią i nawet zmęczone szkapę dorożkarskie zdawały się mieć w sobie trochę więcej życia. Podrzucały łbami i usiłowały dotrzymać kroku parskającym automobilom.

Klaus Hendrichsen spacerował wolnym krokiem pośród tego barwnego tłumu. Na Unter den Linden kupił, troszeczkę kpiąc z samego siebie, kwiatek do butonierki. Potem poszedł w kierunku Ogrodu Zoologicznego. Kilkakrotnie spojrzął na zegarek. Dosłownie spijał oczami otaczające go ruchliwe życie. Niektóre kobiety spoglądały z zadowoleniem na przystojnego młodego mężczyznę, który dumnie i swobodnie trzymał głowę o charakterystycznym męskim profilu. Całość, uzupełniona zdrową brązową cerą i promiennymi niebieskimi oczyma, korzystnie odbijała się od bladych twarzy mieszczuchów i ich zmęczonych, znudzonych spojrzeń.

Po przejściu przez Bramę Brandenburską, skręcił w lewo i przyspieszył kroku. Z

nadzieją wpatrzył się w ulicę, aż nagle twarz jego rozjaśniła się, niczym od blasku słońca.

Elastycznym szybkim krokiem mieszkanki wielkiego miasta szła ulicą szczupłą, młoda kobieta. Miała na sobie skromny, ale wytworny ciemnoniebieski kostium, który prześlicznie opływał młodzieńczą postać. Spod plisowanej tkaniny spódnicy wyglądały szczupłe stopy w eleganckich butach. Na złocistych, układających się w miękkie fale włosach tkwił zachwycająco twarzowy kapelusik, a w uroczej, miłej twarzyczce o delikatnych rysach szczególną uwagę zwracały piękne, czyste oczy.

Serce Klausa Hendrichsena zabiło mocno. Natychmiast rozpoznał w młodej damie Wilmę Hartwig, jeszcze zanim zbliżyła się do niego na tyle, by mógł rozróżnić rysy. Wiedział, że jest to pora, o której Wilma tędy będzie przechodzić, wracając do domu po lekcji gry na pianinie.

Również młoda kobieta rozpoznała doktora Hendrichsena na długo, zanim zbliżyła się do niego. W jej oczach pojawił się szczególny błysk. Ale tylko przez chwilę, po chwili bowiem powrócił jasny, miękki wyraz, który tak zachwycał Hendrichsena.

Podszedłszy dostatecznie blisko, przywitał ją z szacunkiem. Wilma spojrzała na niego, a kiedy się zatrzymał, by ją zagadnąć, zwolniła kroku.

- Łaskawa panienko, czy wolno mi będzie zapytać, jak się czuje pani mama? Kiedy wczoraj zamierzałem złożyć wizytę szanownym rodzicom, usłyszałem, że pani mama choruje.

Mówiąc te słowa zatopił władcze i dominujące, jednocześnie jednak przepełnione miękko, dobrotliwą czułością spojrzenie w jej oczach. Otwarcie i jasno odpowiedziała na jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- Mama miała tylko swoją migrenę, teraz już czuje się dobrze.

- Bardzo się cieszę, tym bardziej, że niezmiernie zależy mi na tym, by prosić szanownych rodziców pani o ogromnie dla mnie ważną rozmowę.

Spojrzał na nią wymownie.

Starła się zachować wrażenie obojętności, ale na twarzy pojawiły się wiele zdradzające rumieńce.

- Wkrótce więc będziemy mieć przyjemność widzieć pana u nas? - zapytała uprzejmym tonem, a oczy wzniosły się ku niemu z wyrazem szczerości, który tak bardzo w niej kochał.

Skłonił się.

- Czy mogę mieć nadzieję, że jutro zastanę pani rodziców?

- Myślę, że mogę to panu obiecać. Przekażę rodzicom, że zamierza nas pan odwiedzić.

- Serdecznie pani dziękuję.

Przez chwilę jeszcze rozmawiali o obojętnych drobiazgach, przy czym jednak często wymieniali nieobojętne spojrzenia.

Koło mostu Wilma pożegnała już swojego towarzysza i dalej podążyła sama.

Odprowadził ją radosnym wzrokiem, aż zniknęła na przeciwległym brzegu. Odwrócił się, a jego serce przepełnione było uczuciem szczęścia i spokoju. Jutro - jutro będzie mógł wziąć ją w ramiona, przytulić do niespokojnie i tęsknie bijącego serca. Nawet przez moment nie wątpił w to, że jego uczucia są odwzajemnione. Z pewnością nie był zarozumiałym głupcem. Próżność była mu obca. Ufał tylko ponętym, subtelnym spojrzeniom. Jego szczerą dusza nie znała, nie pojmowała wyrachowanej kokieterii, kryjącej się za tymi gorącymi spojrzeniami. Gdyby widział szydery uśmiech, który pojawił się na milej twarzyczce Wilmy, gdy tylko się od niego odwróciła, nie byłby taki pewny zwycięstwa i pijany szczęściem.

* * *

Wilma Hartwig dotarła do domu. Jej rodzice mieszkali w niewielkim, przytulnie urządzonej mieszkaniu. W pokoju dziennym wegetował z dnia na dzień sędzia Hartwig. Od kiedy został zwolniony na emeryturę bez awansu, żona i córka odmawiały mu prawa do egzystencji. Bez protestu pozwalał się traktować jak zero i był szczęśliwy, kiedy obie panie zostawiały go w spokoju.

Pani Hartwig była jeszcze pełną życia kobietą. Miała żal do męża, że do niczego nie doszedł i całą swoją nadzieję na lepszą, świetną przyszłość stawiała na jedną kartę - urodę córki.

Wilma została w ten właśnie sposób wytresowana - jej zadaniem było znalezienie bogatej partii. Sama zresztą wiedziała, że i dla niej jest to jedyna droga wyjścia z nędzy panującej w rodzinnym domu.

Ale znalezienie takiej partii nie było łatwe. Już kilka zim z rzędu Wilma przetańczyła, przeflirtowała i przekokietowała, nie odnosząc żadnego sukcesu. Zainteresowanych miłym flircikiem nigdy nie brakowało, ale poważnych zamiarów nie żywił żaden z jej partnerów. Wreszcie ostatniej zimy z tłumu wielbicieli wyróżniło się dwóch mężczyzn, którym można było przypisać poważne zamiary. Ale sezon zbliżał się do końca, a oświadczyń jak nie było, tak nie było.

Sprowokowanie Klause Hendrichsena nie sprawiłoby Wilmie żadnych trudności. Była jednak tak pewna jego zamiarów, że wciąż mu się wymykała. Drugi adorator był znacznie bardziej godny pożądania.

Niestety nie udało się jej wymusić deklaracji od tego drugiego, chociaż użyła wszelkich dostępnych jej środków. Jako jedyny syn bardzo zamożnego radcy handlowego był Kurt Stein zdecydowanie świetniejszą partią niż Klaus Hendrichsen. Ale choć często bywał w domu jej rodziców i pilnie ją adorował, propozycji małżeństwa się nie doczekała.

Wilma jednak, jako rozsądna, młoda kobieta, nie zamierzała w jakikolwiek sposób zaszkodzić swoim stosunkom z doktorem Hendrichsenem, w każdym razie do czasu, kiedy drugi kandydat się nie oświadczy. Bądź co bądź był również bardzo dobrą partią.

Ogarnął ją zły nastrój. Odłożywszy kapelusz i rękawiczki weszła do pokoju. W domu zastała tylko matkę, ojciec „wyprowadził swój cylinder na spacer”, jak zwykle mawiała matka, gdy wychodził z domu.

- Dzień dobry, mammo!

- Dzień dobry, dziecko!

Wilma z westchnieniem opadła na fotel.

- Czy Stein był dzisiaj po południu? - zapytała patrząc na matkę z niepokojem.

- Nie, wiesz przecież dobrze, że przychodzi tylko wtedy, gdy jest pewny, że spotka ciebie.

Wilma niecierpliwie bębniła palcami w podniszczony czerwony obrus na stole.

- Wolałabym, żeby w końcu przyszedł wiedząc, że zastanie tatę. To już nie do wytrzymania, mammo. Już sama nie wiem, co robić. Ale mam wrażenie, że on w ogóle o tym nie myśli.

Starsza pani westchnęła.

- To by znaczyło, że się zupełnie pomyliłam. Za Steina dałabym głowę.

Wilma roześmiała się nerwowo.

- Dobrze, że tego nie zrobiłaś. Dzisiaj spotkałam doktora Hendrichsena. Chce przyjść do was jutro w ważnej sprawie. Wiesz, co to znaczy. Dłużej nie dam rady unikać jego oświadczyn. Odmowa byłaby lekkomyślnością. Nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć jego propozycję.

Matka zmarszczyła czoło.

- Szkoda, wolałabym Steina.

Wilma wstała niecierpliwie.

- Ja też, możesz mi wierzyć! Zupełnie już obojętne, że jest dużo bogatszy. Ale w ogóle

wolę go dużo bardziej od Hendrichsena. Jest taki nieprawdopodobnie dokładny i ciężki - od razu czuć pochodzenie chłopskie - a on się tym szczyci jak gdyby był księciem. Towarzystwo Steina jest zdecydowanie przyjemniejsze i zabawniejsze, nie trzeba nieustannie zatracać się w cnocie i przyzwoitości. Dużo lepiej rozumie moją naturę niż Hendrichsen, który ocenił mnie absolutnie mylnie i przypisuje mi zalety, których nigdy nie posiadałam. To niezbyt wygodne - gdy ciebie przeceniają, masz ciągle wrażenie, że każdy krok grozi upadkiem z piedestału wydumanej doskonałości. Nie wyobrażam sobie, że małżeństwo z Hendrichsenem mogłoby sprawić mi jakkolwiek przyjemność. Życie u boku Steina miałoby bez wątpienia dużo więcej uroku.

Matka w zamyśleniu patrzyła przed siebie. Wyprostowała się.

- Musisz spróbować jeszcze jednego środka.

- Jakiego?

- Wzbudzić u Steina uczucie zazdrości. Dotychczas lawirowałaś tak sprytnie, że obaj nie mieli pojęcia o tym, że zabiegają o twoje względy jednocześnie. Każdy z nich więc myśli, że może być ciebie pewnym. Ale gdyby tak uświadomić Steinowi, że Hendrichsen ma wobec ciebie poważne zamiary? Może to skłoniłoby go do bardziej zdecydowanych kroków.

Wilma zastanowiła się.

- Tak, to byłby środek ostateczny. Ale zostało za mało czasu. Hendrichsen przychodzi już jutro.

- Cóż, możliwe, że Stein zjawi się tutaj jeszcze dzisiaj - albo jutro. W najgorszym wypadku ojciec będzie musiał wykazać się władzą ojcowską i poprosić o kilka dni do namysłu. W tym czasie ja dam Steinowi wyraźnie do zrozumienia, że będziesz dla niego stracona, jeżeli jak najszybciej nie zdobędzie się na podjęcie decyzji. Jeżeli i to nie poskutkuje, wtedy wszystko na darmo. Nie pozostanie nam nic innego, jak przyjąć oświadczyzny Hendrichsena. Czekanie na korzystniejszą partię byłoby zbyt dużym ryzykiem.

Wilma westchnęła.

- Nie da się ukryć, uboga córka nie ma wielkich szans. Masz rację, mamo, musimy podjąć jeszcze tę jedną próbę. Mam nadzieję, że to pomoże. Hendrichsen naprawdę nie wzbudza mojego zachwyty.

- Ale przecież to bardzo przystojny i bardzo miły młody mężczyzna.

- Tak, to trzeba przyznać. Jest przystojniejszy i atrakcyjniejszy niż Stein. Ale cała jego doskonałość jest śmiertelnie nudna. Kiedy opowiada o swoim Leśnym Dworze, o swoim jeszcze doskonalszym bracie i wszystkich kurach i gęsiach, które zdaje się otaczać głęboką miłością, opanowuje mnie przemożna chęć ziewania. Wydaje mi się, że byłby w stanie

zawlec mnie na całe wakacje do tego idyllicznego Leśnego Dworu. Straszne!

- Nie będzie tak strasznie, a latem można wytrzymać tych kilka tygodni na wsi.

Rozmowę przerwał powrót sędziego. W jego obecności starały się nie mówić o sprawach większego znaczenia. Kiedy był do czegoś potrzebny, wyznaczały mu rolę, której musiał się nauczyć na pamięć, by ją w pożądanym momencie odegrać. Na początku próbował wprawdzie stawiać opór, ale nie kończące się zarzuty uciszyły go i zmusiły do posłuszeństwa.

W milczeniu i z niechęcią zasiedli teraz do cienkiej herbaty, do której podano kilka tanich ciastek. Skromna emerytura zmuszała do poważnych oszczędności w gospodarstwie, skoro na zewnątrz usiłowano zachować wrażenie pewnej zamożności.

Gdy Wilma wypila już swoją herbatę, matka, która w zamyśleniu patrzyła przed siebie, dała jej ukradkiem sygnał. Dziewczyna wiedziała, że teraz musi zniknąć. Mama z pewnością zamierzała wpoić mężowi rolę, którą miał spełnić przy ostatnim ruchu.

Młoda dama przeszła do salonu obok, aby pograć na pianinie.

Pani Hartwig przeciągnęła się i serdecznie spojrzała na męża.

- Drogi Pawle, mam do ciebie prośbę.

Drogi Paweł poruszył się niespokojnie na krześle i wcale nie wyglądał na zadowolonego. Kiedy żona była dla niego miła, oznaczało to, że przewidziała dla niego jakąś niemiłą misję do spełnienia.

Siwowłosy mężczyzna o smętnym wyrazie twarzy spojrzał na wciąż jeszcze dobrze wyglądającą, atrakcyjną kobietę.

- Co znowu?

Spojrzała na niego karcącym wzrokiem.

- Chodzi o szczęście naszego jedyne dziecko, Pawle.

- No dobrze, strzelaj. Co tym razem mam zrobić?

W krótkich słowach wyjaśniła mu sytuację. Kiedy Hendrichsen przyjdzie następnego dnia, żeby prosić o rękę Wilmy, ma odegrać rolę ostrożnego, zatroskanego ojca - jakim niestety nie jesteś ani trochę - i poprosić Hendrichsena o kilka dni do namysłu. Jednocześnie miał zażądać, by Hendrichsen zwrócił się do Wilmy dopiero po upływie tego czasu i wyłącznie za zgodą ojca.

Twarz sędziego nabrała jeszcze bardziej zaciętego wyrazu.

- Cóż za urocze zadanie! Mogłem się tego spodziewać. Nie ma sensu oczekiwać, że będziesz dla mnie miła bez jakiegoś swojego interesu.

Małżonka wyprostowała się przyjmując gotowość bojową.

- Mam rozumieć, że nie chcesz? Oczywiście, kiedy jeden jedyny raz miałbyś zrobić

coś dla swojej rodziny, zapierasz się rękami i nogami!

- Zapieram się? Jak gdyby miałyby to jakiś sens, kiedy ty chcesz coś przeforsować. Ale w ogóle nie widzę sensu całej tej męczarni. Można to przecież zaaranżować w dużo prostszy sposób.

Żona z wyższością wzruszyła ramionami.

- Doprawdy pożera mnie ciekawość - cóż to za sposób?

- Napiszesz do Hendrichsena kilka przemiłych słów - w stosunku do innych ludzi umiesz być przecież bardzo miła - poinformujesz go, że Wilma zapowiedziała nam jego wizytę, ty jednak prosisz o przesunięcie jej terminu, ponieważ - no, powiedzmy, ponieważ ja się rozchorowałem. Chętnie pójdę wam na rękę i mogę nawet zrezygnować z opuszczania domu, aż do czasu kiedy wolno mi będzie wyzdrowieć. Kiedy tylko będziecie wiedziały co ze Steinem, zawiadomimy doktora Hendrichsena o moim powrocie do zdrowia i wtedy będzie mógł przynajmniej otrzymać jasną i wyraźną odpowiedź. W każdym razie robi to lepsze wrażenie, niż przedziwne zabiegi waszego autorstwa.

Małżonka wysłuchawszy stwierdziła w duchu, że mężowi zdarzały się jeszcze momenty logicznego myślenia. Rada była dobra, temu nie dało się zaprzeczyć. W każdym razie można ją było zaakceptować. Łaskawie wyraziła zgodę, a małżonek z ulgą zapalił jedno ze swoich tanich cygar.

* * *

Następnego ranka Klaus Hendrichsen obudził się z poczuciem wyjątkowości rozpoczynającego się dnia. Przepęlny radosnym niepokojem wyskoczył z łóżka i ubrał się. Po skończonej toalecie udał się do pokoju dziennego.

Starsza pani, u której wynajmował trzy przytulnie urządzone pokoje, właśnie wniosła śniadanie. Przywitał ją uprzejmie, ona zaś wręczyła mu list, który nadszedł z poranną pocztą. Podczas gdy on siadał do stołu i otwierał list, gospodyni cicho opuściła pokój.

Radosny nastrój Hendrichsena przygasł, list bowiem donosił:

Drogi Panie Doktorze! Właśnie dowiedziałam się od córki, że wyraził Pan zamiar odwiedzenia naszej rodziny. Byłaby to dla nas ogromna przyjemność, ale niestety mąż mój nagle się rozchorował i na razie absolutnie nie jest w stanie podejmować gości. Córka i ja jesteśmy naturalnie bardzo jego stanem zmartwione i zaabsorbowane opieką nad jakże nam drogim chorym. Dlatego jestem zmuszona prosić Pana o przesunięcie milej wizyty o kilka dni.

Kiedy tylko mąż mój znajdzie się na drodze ku poprawie zdrowia, otrzyma Pan wiadomość, i mam nadzieję, że wkrótce potem Pana u nas zobaczymy. Pozdrawiam serdecznie

Pańska Adelajda Hartwig

W jednej chwili uczucie radości ulotniło się. Klaus odłożył list na bok. Znowu odsunięcie decyzji! To nie do zniesienia dla jego tęsknoty. Ale nic nie można było zmienić, musiał się podporządkować. Pozostawało tylko żywić nadzieję, że stan chorego będzie się szybko poprawiał.

Każdy dzień, dzielący go od oczekiwanego szczęścia, zdawał mu się być wiecznością.

Przygnębienie nie opuszczało Klause jeszcze przez kilka godzin, ale później postanowił się wyrwać z jego mocy. Tego, że szczęście przyjdzie, był pewien - w końcu i te dni będą miały swój koniec. Tym piękniej będzie wtedy, gdy nareszcie osiągnie cel swoich marzeń.

Dwa dni później nadszedł list od brata.

Drogi Klausie! Nawet jednej chwili nie chcę zwlekać z odpowiedzią na Twój list i z najserdeczniejszymi życzeniami dla wyboru Twojego serca. Niech Bóg błogosławi dziewczynie, która jest dla Ciebie spełnieniem szczęścia. Przywieź ją do nas jak najszybciej, tak by stała się nam bliska. I nie obawiaj się moich kpin, jeżeli miłość budzi w Tobie poetę. Nie bój się - wiem czym jest miłość, moja Dorota już od trzech lat jest daleko. Jeszcze dzisiaj żyję wspomnieniem tamtych dni, bo czułem się wtedy tak, jak Ty się czujesz teraz.

Poza tym niewiele nowego. Pannie Meisenheim wymówiłem. Odchodzi pierwszego czerwca, a Anna-Dora jest zachwycona perspektywą „straszliwego czasu bezkrólewia”. Gdybym miał chociaż odrobinę talentu nauczycielskiego! Lekcji religii i muzyki będzie mojemu dzikusowi udzielał pastor, ale z powodu dalekiej drogi ze wsi do Leśnego Dworu, tylko dwa razy w tygodniu. Do czasu, kiedy znajdę odpowiednią nauczycielkę, jakoś będziemy musieli sobie radzić. Mógłbym umieścić Annę-Dorę na jakiejś pensji - ale napawa mnie to przerażeniem. Nie tylko dlatego, że musiałbym się rozstać z moim słoneczkiem - przecież nie miałbym pojęcia, w jakie trafi ręce, czy jej czysta, jasna natura nie zostałaby zmacona! A i ona nie wytrzymałaby rozstania z Leśnym Dworem. „Zobaczysz, tatusiu, że umrę z tęsknoty za tobą i Leśnym Dworem, jeżeli mnie odeślesz” mówi do mnie, a w jej oczach jest coś takiego... - nie, nie oddam jej za żadną cenę.

Na malowanie miałem ostatnio mało czasu. Od zimy kręci się po okolicy banda kłusowników i odstrzeliwuje najpiękniejszą zwierzynę - i to co gorsza bez sensu i bez rozumu, w dzikiej żądzy posiadania. Nawiązałem kontakt z nadleśnictwem z Grummen, kłusownicy niepokoją również sąsiadujący z moim lasem teren grummenerski. Całymi dniami jesteśmy na

straży, mamy również dyżury nocne. Jak dotychczas bez skutku. Chłopcy spokojnie strzelają dalej i są sprytni na tyle, żeby się nie dać złapać. Ale my jesteśmy na tropie. Dlatego również teraz muszę kończyć moją epistolę - za pół godziny zamierzam dołączyć do pomocników nadleśnictwa grummerskiego. A więc jeszcze raz życzę szczęścia, mój Chłopcze! I przywieź nam swoją narzeczoną. Anna-Dora robi wielkie oczy, na razie nie będę jej nic mówił o oczekujących Ciebie zaręczynach. Już ona spojrzy odpowiednio krytycznym wzrokiem na Twoją przyszlą małżonkę, bo dla jej ukochanego wujka Klause nadaje się tylko to, co naprawdę najlepsze! Madame Sonnenmann odpowiada z promienną miną na Twoje pozdrowienia. Nie da się ukryć, że masz u niej wyjątkowe fory. A więc adieu, mój drogi Klausie - Powodzenia!

Twój wierny brat

Klaus złożył list uśmiechając się. Cieszył się już teraz, że będzie mógł zapoznać Wilnę z tym cudownym człowiekiem. Leśny Dwór i jego mieszkańcy spodobają jej się na pewno. Na całym świecie nie ma równie pięknego miejsca!

Gdy koło południa wrócił do domu, gospodyni wyszła mu naprzeciw, by wręczyć mu telegram, który czekał już od godziny. Rozerwał go niecierpliwie, ogarnięty nagłym strachem wywołanym złymi przeczuciami i pobladłszy, nieruchomo wpatrywał się w tekst.

Pan Hendrichsen miał wypadek, zraniony przez kłusowników, prosi Pana o natychmiastowy przyjazd. Sonnenmann.

Klaus przetarł oczy i przeczytał jeszcze raz. Nic się nie zmieniło. Gnany niepokojem wpadł do pokoju w poszukiwaniu rozkładu jazdy. Pociąg odjeżdżał za niecałą godzinę. Natychmiast zaczął się przygotowywać do drogi, chętnie korzystając przy tym z pomocy gospodyni. Ale nawet w strachu i trosce o brata nie przestał myśleć o Wilnie. Pośpiesznie napisał na kartce kilka słów, by zawiadomić Hartwigów o swoim wyjeździe i na wszelki wypadek zostawić im swój adres.

Zaraz potem pojechał na dworzec i zdążył akurat przed odjazdem pociągu.

Podczas drogi do domu rodzinnego obraz Wilny przybladł i oddalił się od niego. Wszystkie myśli zajęła troska o prawie piętnaście lat starszego brata, z którym łączyły go serdeczne stosunki. Pociąg włókł się niemiłosiernie. Klaus marzył o tym, żeby mieć skrzydła, które przeniosłyby go do brata. Wiedział doskonale, że brat nie wzywałby go do domu z powodu drobiazgu. Rana musiała być poważna, w przeciwnym razie roztropna pani Sonnenmann dodałaby w telegramie kilka słów wyjaśnienia.

* * *

Leśny Dwór był dużym, okazałym majątkiem. Przynajmniej trzy czwarte należących do niego ziem porastał las, który od strony północnej łączył się z lasem grummenerskim, a na południu przechodził w melancholijny, ale też piękny krajobraz wrzosowiska. Na wschodniej stronie na skraju lasu stał Leśny Dwór - przestronne budynki, które od wiatru i niepogody osłaniały ogromne stare drzewa.

Przodkami braci Hendrichsen byli prości chłopci, którzy niezmordowaną pracowitością, roztropnością i wytrwałością położyli kamień węgielny zamożności i bogactwa rodu. Majątek powiększano z roku na rok, przez całe stulecia.

Hendrichsenowie byli zdrowi i silni, szczerzy i uczciwi, mądrzy i rozsądni i bardzo dumni ze swego prostego pochodzenia. Jeszcze dzisiaj sami siebie nazywali chłopami z Leśnego Dworu, chociaż dawny majątek hrabiego Waldburga już z dawien dawna był w ich rękach i stanowił całość z Leśnym Dworem. Ród dawnych właścicieli ziemskich, hrabiostwo Waldburg wymarł, a z ich dumnego pałacu na zachodnim skraju lasu została jedynie ruina. Uparty, hardy ród chłopski przetrwał wszystkie zawieruchy, ostrożnie parł przed siebie, a Leśny Dwór coraz bardziej przypominał mały dworek pański, coraz mniej zaś chłopskie domostwo.

Dom mieszkalny rozrósł się do rozmiarów okazałego budynku, ale jego podstawę wciąż jeszcze stanowiły solidne, pierwotne mury. Budynki gospodarcze łączyły się z domem mieszkalnym w taki sposób, że wraz z nim tworzyły potężny czworobok, otaczający znajdujący się wewnątrz duży dziedziniec.

Obecny właściciel, Albert Hendrichsen, był prawdziwym synem swego rodu. Podobnie jak u jego brata Klause uwagę zwracała wyrazista głowa o masywnym czole i zdecydowanych rysach, którymi odznaczyli się już jego przodkowie. Tylko oczy patrzyły inaczej na świat. Matka dała mu krew artysty płynącą w jego żyłach. Była córką malarza, a Albert Hendrichsen z pewnością posiadał talent malarski. Obrazy, które malował w chwilach odpoczynku, przyniosły mu sławę sięgającą daleko poza granice domu rodzinnego.

Nigdy jednak nie przyszłoby mu do głowy, by z tego powodu zaniedbać gospodarstwo. W gruncie rzeczy był pracowitym rolnikiem, zresztą tak samo jak jego brat, Klaus. Obaj byli silnie związani z naturą i dlatego Klaus Hendrichsen wybrał jako kierunek studiów historię naturalną.

Dzielny zarządca majątku starał się odciążyć dziedzica Leśnego Dworu na tyle, żeby

ten miał dość czasu dla swojej namiętności.

Tak więc malował cudownie nastrojowe krajobrazy, przepojone gorącą miłością do ziemi ojców, do jego małej ojczyzny. Wszystkie obrazy przenikał szczególny, gorzki czar, niczym wyraz wrażliwej, ale zamkniętej duszy artysty, która otworzyła się, ale jakby wbrew własnej woli, pod wpływem przymusu jakiejś tajemniczej siły.

Od śmierci żony Albert Hendrichsen żył w Leśnym Dworze z dala od całego świata wraz z jedyną córką Anną-Dorą. Jedynym człowiekiem, z którym utrzymywał kontakty był pastor z oddalonej o godzinę drogi wsi i nadleśniczy lasów grummenerskich.

Co roku wyjeżdżał zimą na kilka tygodni do Berlina, aby odetchnąć trochę atmosferą wielkiego miasta. Klaus natomiast spędzał w Leśnym Dworze wszystkie ferie i przywoził ze sobą tyle świeżości i radości życia, że mała Anna-Dora w głośnych żywiołowych okrzykach wyrażała swój zachwyt, gdy tylko miał się pojawić. Młody wujek zajmował w jej sercu prawie tak samo ważne miejsce jak ojciec. Wewnętrznie czuła, że obaj mężczyźni należą do siebie niczym niepodzielna całość. Anna-Dora była bardzo żywiołowym, nieokiełznanym dzieckiem. Serduszko jednak miała miękkie i wrażliwe.

Brak towarzystwa rówieśników zupełnie jej nie doskwierał. Obdarzona bogatą wyobraźnią, potrafiła zaludnić własne życie stworzonymi przez siebie postaciami. Lalki były dla niej prawdziwymi ludźmi, kucyk, na którym jeździła jak chłopak, i często z żywiołową radością życia galopowała przez wrzosowiska, był jej przyjacielem, na którym mogła polegać i któremu śmiejąc się opowiadała najróżniejsze historie.

Jak wszyscy przodkowie kochała naturę, wszystkimi zmysłami chłonęła jej piękno. Miała tak urozmaicone życie, że w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, na jaką samotność była skazana w Leśnym Dworze; nie pragnęła niczego innego. Kiedy do tego wszystkiego pojawiał się wesoły, zdolny do największych szaleństw i gotowy na każdy figiel wujek Klaus, nie brakowało nic - życie było bogate i piękne.

Wprawdzie po śmierci ukochanej mamy ojciec stał się bardziej wyciszony i poważny, ale to nie mogło stłumić naturalnej swawoli i radosnej istoty Anny-Dory. Od wczesnego ranka Leśny Dwór rozbrzmiewał jej dźwięcznym śmiechem, gdy tylko się przebudziła, śpiewała i wydawała głośne okrzyki przedrzeźniając się ze słowikami. Z wiatrem w zawody gnała na swoim kucyku przez łąki i pola, przez las i wrzosowisko. Towarzyszyła ojcu prawie we wszystkich przejażdżkach konnych. Ale umiała też godzinami spokojnie leżeć w trawie koło niego, podczas gdy on siedział przy sztalugach i przenosił na płótno smętne krajobrazy wrzosowiska albo kawałek jej ukochanego lasu. Od czasu do czasu podnosiła się, aby zobaczyć, co już stworzył i długo przyglądała się porównując obraz spod pędzla z dziełem

stworzonym przez naturę. Często ojciec i córka prowadzili przy tym poważne, mądre rozmowy. Anna-Dora dysponowała zupełnie fachową wiedzą o rozłożeniu światłocienia, o perspektywie, oświetleniu i o wykorzystywaniu kolorów. Utrzymywała ojcowskie pudło z farbami we wzorowym porządku, wiedziała jak czyścić pędzel i paletę, jak obchodzić się z niedokończonymi płótnami.

Najchętniej przyglądała się, kiedy malował wrzosowisko zatopione w niebieskoszarej mgle i rozpostarte nad nim, mieniące się rozżarzoną ferią kolorów niebo. Jeden z tych obrazów dał początek sławie nazwiska Hendrichsena. „Zachód słońca na wrzosowisku” brzmiał jego tytuł, i był ulubieńcem Anny-Dory. Płakała, gdy trzeba go było odesłać, i pogodziła się z tym dopiero wtedy, gdy Klaus opowiedział jej, że obraz zawieszono w galerii ku radości wielu ludzi, pokazuje on bowiem czar i piękno wrzosowiska tym wszystkim, którzy sami jeszcze tego nigdy nie widzieli. A gdy na następne Boże Narodzenie ojciec położył na jej stoliku z prezentami małą kopię obrazu, skakała z radości. Obrazek powiesiła w swoim pokoju, pod portretem zmarłej matki. Teraz był to jej najcenniejszy skarb.

Chociaż ojciec często malował podobne obrazy, ten pozostał jej najukochańszym. Ale każdy nowy obserwowała z palącym zainteresowaniem i towarzyszyła jego powstaniu od pierwszych, mglistych konturów, aż do ostatniego pociągnięcia pędzlem. Kiedy tak siedziała zatopiona w marzeniach, ojciec odwracał się, by spojrzeć na córeczkę. Lśniącymi oczami artysty, tak samo pełnymi zachwytu dla piękna natury, wpatrywał się w okrągłą twarz dziecka o ogromnych, zachwyconych oczach. Ojciec i córka spoglądali na siebie, ze zrozumieniem, natchnieni i wzruszeni. Anna-Dora przeciągała się i ramionami obejmowała szyję ojca.

- Pięknie, przepięknie, tatusiu!

Nic więcej. Już w kwadrans później Anna-Dora mogła znów biegać naokoło jak dzikie źrebiątko, wypełniona rozkoszną, gwałtowną radością życia. Była zbyt impulsywna, by w każdej chwili nie wykorzystywać całego piękna, które owa krótka chwila przynosiła.

Tak więc ojciec i córka żyli w Leśnym Dworze szczęśliwi, połączeni serdeczną wspólnotą. Jedyne prawdziwym zmartwieniem, mącą radość Anny-Dory była konieczność kontaktów z wychowawczynią, panną Meisenheim. Panna Meisenheim była małostkową, ograniczoną osobą, która chciała musztrować Annę-Dorę i siłą wcisnąć ją w ramy narzuconego szablonu. To jej się nie udawało, czego skutkiem były narzekania i westchnienia żalu dochodzące z obu stron. Ale kiedy Albert Hendrichsen wypowiedział pracę pannie Meisenheim, ze szczęśliwego nieba Anny-Dory odpłynęła również ta jedyna ciemna chmura.

A teraz nagle niebo zachmurzyło się tak, że nie mógł się przebić nawet najmniejszy

promycek światła. Do domu przyniesiono ciężko rannego ojca. Leżał na łóżku z bladą twarzą i zamkniętymi oczyma.

Anna-Dora krzyknęła w dzikim bólu, i z wyrazem przerażenia wpiła się wzrokiem w ukochaną twarz. Nie pozwoliła się oderwać od łóżka ojca nawet wtedy, gdy zażądał tego lekarz, który musiał podjąć próbę usunięcia kuli.

- Pozwólcie mi zostać - będę zupełnie cicho i w ogóle nie będę się ruszać. Ale nie chcę wyjść - chcę zostać przy moim tatusiu - powiedziała cicho, ale z tak gorącym błaganiem i takim zdecydowaniem, że więcej nie protestowano.

I Anna-Dora pokazała, że pochodziła z rodziny Hendrichsenów. Błada jak płótno, ale nie wydawszy nawet jednego tonu, asystowała lekarzowi. Kiedy w końcu nałożono porządny opatrunek, zadrżała i półprzytomna opadła na kolana.

Pani Sonnenmann chciała ją podnieść i wyprowadzić. Wtedy jednak Anna-Dora podniosła się szybko i potrząsnęła głową. Zmusiła się do spokoju i usiadła cicho przy łóżku ojca, patrząc mu w twarz gorącymi, suchymi oczyma. Dręczyło ją jedno pytanie. Kiedy do Leśnego Dworu dotarła pierwsza wiadomość o nieszczęściu, panna Meisenheim z zaciętym wyrazem twarzy odezwała się do Anny-Dory:

- To jest kara boska za twój nieznośny, krnąbrny charakter.

Niczym miecz słowa te wdarły się jej w serce. Czy to możliwe? Czy to możliwe, żeby Bóg chciał ją tak strasznie ukarać za złe zachowanie? Czy dobry Bóg mógłby być tak okrutny? Całe jej wnętrze skupiło się na tym jednym pytaniu, na które nikt nie mógł dać odpowiedzi. Ojciec leżał z zamkniętymi oczami i twarzą wykrzywioną bólem. Jego nie mogła zapytać, a pani Sonnenmann - nie, pani Sonnenmann potrząsnęłaby tylko głową i powiedziała „bzdury”. To jej nie wystarczyło. Wiedziała, że wobec panny Meisenheim była często niegrzeczna i gwałtowna. W małostkowej i zrzędzącej wychowawczyni było coś, co wzbudzało w niej opór. Panna Meisenheim często powtarzała słowa: „Bądźcie posłuszni waszym nauczycielom i wypełniajcie ich polecenia”. A teraz jej nieposłuszeństwo miało być winne temu, że najdroższy ojciec leżał śmiertelnie ranny na łóżku. Czy to możliwe?

W całym bólu i żalu właśnie to pytanie dręczyło ją najbardziej, tak że kiedy wreszcie przyjechał Klaus wybiegła mu naprzeciw, objęła go drżącymi ramionami i w rozpaczliwym strachu spojrzała prosto w twarz.

- Wujku Klausie, czy to naprawdę moja wina, że tatuś został ranny? Czy będzie musiał umrzeć, bo ja jestem nieposłuszna?

Zaskoczony Klaus spojrzał na bladą dziecięcą buzię i delikatnie odsunął z jej czoła niesforne loki.

Drżąc wtuliła mu się w ramiona.

- Panna Meisenheim powiedziała, że nieszczęście jest karą bożą za moje nieposłuszeństwo.

Klaus był przerażony, a w oczach pojawił się wyrazu gniewu. Jak można obarczać dziecko czymś tak potwornym! Mocno przytulił Annę-Dorę.

- Uspokój się, Anno-Doro, panna Meisenheim powiedziała w złości coś bardzo bezsensownego. Bóg jest dobry i sprawiedliwy, za nasze grzechy karze tylko nas samych, a nie innych. A jeżeli byłaś niegrzeczna wobec panny Meisenheim, to należy ci się bura, ale nie coś tak bolesnego i przygnębiającego, jak ten wypadek. Uspokój się więc i chodź, zaprowadź mnie do ojca!

Anna-Dora odetchnęła jak gdyby zdjęto jej z ramion ogromny ciężar. W to, co powiedział wuj Klaus, wierzyła. Podała mu rękę i tak podeszli do łóżka ojca.

Albert Hendrichsen gorączkował i nie poznał brata. Anna-Dora usiadła skulona i drżąca na fotelu bujanym, była zmęczona i bliska zupełnemu opadnięciu z sił, bo od chwili, kiedy przyniesiono ojca, jeszcze nie zmrużyła oka.

Klaus był wstrząśnięty, ale na zewnątrz starał się sprawiać wrażenie spokojnego. Skinieniem ręki poprosił panią Sonnenmann, która zajęła się opieką nad swoim panem, o przejście do sąsiedniego pokoju i szeptem zapytał o więcej szczegółów, przede wszystkim chciał wiedzieć, co powiedział lekarz.

Przekazała mu wszystko, co wiedziała, przy czym oczy jej wypełniły się łzami. Skończywszy poprosiła Klause, by nakłonił Annę-Dorę do spania. Był jedyną osobą, która mogłaby ją przekonać.

Skinieniem głowy wyraził zgodę, poprosił tylko jeszcze o natychmiastowe zwolnienie panny Meisenheim. Trzeba było tylko wypłacić należne pieniądze za pensję i mieszkanie. Opowiedział słuchającej z największym oburzeniem kobiecie, w jak obrzydliwy sposób wychowawczynie zachowała się wobec dziecka i wyraził przekonanie, że postąpi zgodnie z wolą brata, gdy zadba o to, by Anna-Dora już się z nią nie spotkała. Po takiej zawistnej, małostkowej osobie można się spodziewać, że nie przestałaby zatruwać umysłu dziecka.

Pani Sonnenmann wypełniła polecenie z dużym zdecydowaniem. Anna-Dora była ulubieńcem wszystkich mieszkańców Leśnego Dworu z wyjątkiem jednej, jedynej panny Meisenheim i energiczna, choć przecież bardzo dobrotliwa gospodyni jasno i dosadnie wyjaśniła zjadliwej, małodusznej kobiecie, w jakiej sytuacji ta się znalazła.

Z początku wychowawczynie usiłowała protestować. Ma prawo, twierdziła, pozostać do pierwszego czerwca, i nikt poza panem domu nie jest władny zwolnić ją przed tym

terminem.

Ale pani Sonnenmann dobrała odpowiedni ton, by jej udowodnić, że dla własnego dobra powinna jak najszybciej zadowolić się oferowaną sumą odprawy i ulotnić się. Dość tego - w kilka godzin później panna Meisenheim z wykrzywioną, złą twarzą udała się w stronę stacji.

Klaus wrócił do łóżka brata. Bratanica objęła go mocno, jak gdyby był dla niej ochroną i pomocą. Podniósł ją silnymi ramionami i przeniósł na sofę stojącą w pokoju obok. Próbowała się bronić. Cichym i serdecznym głosem poprosił, żeby spróbowała przespać się przez kilka godzin.

- Anno-Doro, bądź rozsądna! Ojciec leży w gorączce, teraz nie możesz mu nic, ale to nic pomóc. Oszczędzaj własne siły! Kiedy będzie ciebie później potrzebował, musisz być silna i wypoczęta. Teraz ja jestem przy nim. Jak tylko odzyska świadomość, obudzę ciebie natychmiast i zaprowadzę do niego.

Te słowa podziałały. Posłusznie z powrotem położyła głowę i zamknęła oczy. Kilka minut później wyczerpane ciało skorzystało ze swojego prawa - zasnęła.

Klaus długo siedział przy łóżku brata, pogrążony w niewesołych myślach. Według relacji pani Sonnenmann lekarz określił ranę jako ciężką i niebezpieczną i żywił tylko słabą nadzieję, że zdoła utrzymać Alberta Hendrichsena przy życiu. Gdyby nie to, że we wsi grasowała epidemia szkarlatyny, w ogóle by nie opuścił pacjenta. W każdym razie zamierzał wrócić tak szybko, jak tylko możliwe.

Klaus niecierpliwie wyczekiwał jego przyjścia, by bezpośrednio od niego usłyszeć prawdę o stanie brata.

Albert długo leżał z zamkniętymi oczami. Teraz otworzył oczy. Spojrzenie było zmęczone i ciężkie, gorączkowo błyszczące, ale już przytomne. Rozpoznał brata, który pochylił się nad nim z troską. Z wyraźnym wysiłkiem usiłował zebrać myśli.

Wytrwała siła woli rodu Hendrichsenów nie opuściła go i teraz.

- Ty, Klaus - to dobrze. Gdzie jest Anna-Dora?

- Nareszcie zasnęła na trochę, Albercie. Mam ją zawołać?

- Nie, zostaw - dobrze, że śpi. Widzisz, Klaus, tak więc leżę - jedna malutka kulka - powalony.

Klaus zmusił bladą, wzruszoną twarz do spokoju i chwycił brata za rękę.

- Nic już nie mów, Albercie! To dla ciebie zbyt duży wysiłek.

- Nie, pozwól mi mówić. Może nie zostało dużo czasu - czuję to - nadchodzi koniec.

- Bracie - drogi bracie!

Albert uśmiechnął się smutno.

- Kiedyś to przyjdzie na każdego - koniec. Nie zamierzam się skarżyć, że mnie spotyka tak szybko. Moją dobrze odmierzoną porcję cierpienia i szczęścia mam już za sobą. Ale moje biedne dziecko - ta myśl mi nie daje spokoju. Co się stanie z Anną-Dorą?

- Albercie, o to możesz się nie martwić. Anna-Dora i ja należymy do siebie, co by się nie miało wydarzyć.

Twarz rannego rozjaśniła się.

- Dziękuję za te słowa, mój drogi Klausie. A teraz jeszcze jedno: Co będzie z Leśnym Dworem?

Klaus potarł czoło.

- Albercie, nie możesz nas opuścić - powiedział wstrząśnięty.

- Odejdę, jeżeli będę musiał - decyzja nie leży w mojej mocy. Co będzie z Leśnym Dworem?

Młody mężczyzna wyprostował się.

- Czy nie jestem Hendrichsenem, Albercie? Utrzymam Leśny Dwór, jeżeli ty nie będziesz mógł. Będę tutaj, skoro tylko będę potrzebny.

Albert uśmiechnął się z zadowoleniem. Potem dodał cicho:

- Ale twoje studia, twoje plany, by stać się człowiekiem świata nauki?

- Czy ty nie jesteś przy okazji malarzem? Również w Leśnym Dworze mogę służyć nauce. Nie martwi się, Albercie! Bądź zupełnie spokojny! Mam nadzieję, że nas nie opuścisz. Ciebie w każdym razie nie powinny trapić absolutnie żadne troski. Anna-Dora, Dwór i ja - to jedno.

- Dziękuję ci, to dobre słowo. A - twoje młode szczęście? Klausie, tak bardzo chciałbym jeszcze poznać twoją młodą narzeczoną. Czy zechce być matką dla mojego dziecka?

Oczy Klausea rozblęły.

- Ręczę za nią. Wilma jest aniołem.

Albert uśmiechnął się.

- A więc wszystko dobrze - teraz uwolniłem się od wszelkich trosk. Teraz przywołaj, proszę, moje dziecko. Chciałbym pożegnać się z nią, dopóki jestem przytomny - na wszelki wypadek.

Klaus uściśnął go za ramię i podniósł się, by zawołać Annę-Dorę. Leżała w głębokim śnie, głowa odchylona na stronę, jedna ręka zatopiona we włosach. Na twarzy widniał wyraz słodkiego spokoju, charakterystyczny dla śpiących dzieci. Było mu przykro, że musi ją

budzić.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Anno-Doro, ojciec chce cię zobaczyć.

Przez chwilę patrzyła jeszcze zaszpanym wzrokiem. Powtórzył jeszcze raz te same słowa. Wtedy zerwała się energicznie i natychmiast chciała pobiec. Zatrzymał ją.

- Chwileczkę, Anno-Doro! Nie zapominaj, że ojciec jest bardzo chory. Pokaż mu, że jesteś spokojna i opanowana.

Westchnęła ciężko i ścisnęła go za rękę.

- Będę zupełnie spokojna.

Szybkim, lekkim krokiem, czując obejmujące ją silne ramię, przeszła do drugiego pokoju. Gdy napotkała wzrok ojca, przeniknął ją dreszcz. Ucałowała go w rękę.

- Tatusiu - tatusiu - czy czujesz się lepiej?

- Tak, moje dziecko.

- Czy jeszcze boli?

- Trochę.

Przyklękła przy łóżku i oparła policzek na jego dłoń, którą mocno objęła. Głęboka cisza opanowała pokój, którego ciężkie, stare meble dębowe sprawiały poważne, niemalże przygnębiające wrażenie.

Po chwili ranny zwrócił się twarzą w stronę okna.

- Otwórz je szeroko! - poprosił brata.

Klaus zrobił, o co go proszono.

Nad wrzosowiskiem rozciągało się najcudowniejsze wczesnowiosenne niebo. Rozpłomieniony przepych nasyconych kolorów o nieopisanym pięknie.

Oczy rannego rozjaśniły się. Oto nastrój, którego czarowi ulegał nieustannie, który zawsze próbował uchwycić na płótnie.

Spojrzał w zatrwożoną, bladą twarzyczkę córki i podniósł rękę, by pokazać jej niebo.

- Piękne - Anno-Doro - przepiękne! Tam znajdziesz mnie zawsze, kiedy twoja dusza będzie mnie szukać.

Zaszlochała.

- Nie odchodź - zostań ze mną - zawołała z rozpaczą i ścisnęła jego dłoń szczupłymi, delikatnymi palcami.

Jego rysy ogarnął wyraz wzruszającego smutku. Nad pochyloną głową dziecka spotkały się spojrzenia braci, poważne, pełne zrozumienia.

Dłoń rannego pogładziła łoki dziecka.

- Niech Bóg cię błogosławi, moja Anno-Doro i co by się nie stało - pokaż, że jesteś z rodziny Hendrichsenów, noś swoje nazwisko z siłą i odwagą. Obiecuj mi to!

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym nie było nic z dziecka. Poważnym, przepełnionym gorącą troską, a jednocześnie zdecydowanym.

- Obiecuję, tato - mój kochany tato - nie martw się o mnie. - Pocałowała go w rękę.

Uśmiechnął się do niej z wyrazem dobroci.

- Dzielne dziecko - teraz czuję się dużo lżej i swobodniej. Popatrzmy teraz na ten wspaniały przepych kolorów! Chodź, Klaus, usiądź razem z nami! Pozwólcie mi patrzeć, aż światło na niebie zupełnie zagaśnie.

W ciszy troje ludzi wyglądało na zewnątrz, ręka w rękę w uroczystym milczeniu. Jeszcze zanim wypalił się ostatni promień światła i wszystko otuliły szarofioletowe tony, temperatura chorego podniosła się znacznie i zaatakowała z nową siłą. Oczy ponownie straciły wyraz świadomości i przytomności.

Lekarz, który przyszedł pół godziny później, był bardzo zaniepokojony. Został przy chorym i postanowił nie opuszczać go nawet przez noc.

Mijały pełne obawy godziny.

Albert Hendrichsen już nie odzyskał świadomości. Anna-Dora zasnęła właśnie ponownie, opanowana zmęczeniem, w dużym, pokrytym skórą fotelu, stojącym obok jego łóżka, kiedy wydał ostatnie tchnienie - krótko przed północą.

Lekarz rzucił w stronę Klause wymowne spojrzenie i cicho opuścił pokój. Młody mężczyzna wpatrywał się wstrząśnięty w martwe, nieruchome oczy brata, w końcu zamknął je drżącą ręką.

Z wykrzywionych bólem warg wyrwało się westchnienie.

Później spojrzał na śpiącą dziewczynkę. Jakby składając cichą, uroczystą przysięgę położył rękę na jej głowie i potem znów podszedł do zmarłego.

Składając mu ręce na śmiertelnie zranionej piersi szepnął wzruszony:

- Spoczywaj w pokoju - twoje dziecko będzie dla mnie świętą spuścizną, a jej szczęście - ważniejsze niż moje własne!

Cicho odwrócił się i ostrożnie podniósł Annę-Dorę, żeby przenieść ją do sąsiedniego pokoju. Była tak wyczerpana, że się w ogóle nie zbudziła. Troskliwie położył ją na sofie i otulił ciepło. Potem usiadł obok niej. Kiedy się obudzi, nie może być sama...

Lekarz zawiadomił panią Sonnenmann o śmierci pana dziedzica. Wierna dusza wyszłochała się najpierw, zanim po cichu weszła do pokoju i dopełniła ostatniej posługi. Przez otwarte drzwi wymieniła z Klausem tylko jedno nieme spojrzenie. Wskazał na śpiące

dziecko. Zrozumiała, a z jej oczu na nowo popłynęły łzy.

Po otwarciu wszystkich okien i przykryciu zwłok białym płótnem, po cichu opuściła pokój.

Klaus przesiedział wiele godzin przy śpiącym dziecku. Przez drzwi mógł patrzeć na łóżko, na którym spoczywał martwy brat. Tak w ciszy trzymał podwójną straż.

Rozpalonym wzrokiem błędził po dużym pokoju. Ściany, jak prawie we wszystkich pokojach Leśnego Dworu, pokrywała okładzina z drewna dębowego. Na nich, na wysokość mężczyzny przytwierdzono półki, na których stały piękne naczynia cynowe, kielichy i gliniane dzbany. Między nimi również stare, cenne sztuki.

Ciężkie, stare meble dębowe stały twardo i niezmiennie, każdy na wyznaczonym niegdyś miejscu. Przyciemniała barwa wyraźnie wskazywała na ich wiekowy charakter. Wszystkie te meble sprawiały wrażenie, że z każdym wiąże się jego własna historia. Jawiły się tak tajemniczo, jak gdyby pamiętały wszelkie radości i całą rozpacz, które od wieków rozgrywały się w tych murach.

Albert Hendrichsen sam skomponował i zestawiał piękne stare dywany i materiały w taki sposób, że uzyskał malowniczy skutek i w swojej istocie nieco smutny nastrój wnętrza rozładował radością płynącą z różnorodności barw. Podobnie jak ten wyglądały wszystkie pokoje mieszkalne Leśnego Dworu.

Najpiękniejsze pomieszczenie, jadalnia, znajdowało się obok pokoju dziennego, naprzeciw pokoju, w którym umarł brat.

Tutaj pani Sonnenmann przygotowywała na potężnym, okrągłym stole posiłek dla Klausea.

Skończywszy, weszła cicho do pokoju i cichym głosem poprosiła Klausea, żeby coś zjadł. Jej energiczna twarz o dobrotliwych oczach wciąż jeszcze miała bardzo zapłakany wygląd.

Klaus potrząsnął przecząco głową. Teraz nie mógłby nic przełknąć. Niewypłakane łzy dławiało tkwiły w gardle.

Dopiero teraz zaczął pojmować, co się stało. Jego brat Albert nie żyje - ten gigant powalony jedną maleńką, podstępą kulą, wyrwany życiu w najpiękniejszym wieku - czy to w ogóle można było pojąć, w ogóle dopuścić do myśli?

A obok niego śpiące dziecko - sierota! Wciąż jeszcze nie wiedziała, jaka okrutna strata ją spotkała. Gdy się obudzi i zawoła ojca, nie otrzyma odpowiedzi. Teraz była zdana tylko na niego. Czy z całą swoją dobrą wolą będzie umiał zastąpić jej ojca? On ze swoimi dwudziestoma ośmioma laty - ojcem dwunastoletniej dziewczynki? Ale Wilma mu pomoże -

jego Wilma. Myśli, pełne gorącej tęsknoty, poszybowały ku drogiej mu kobiecie. Gdyby mogła być teraz przy nim, przy nim i tym biednym dziecku! Byłaby dla niego słodkim pocieszeniem.

Postanowił, że do niej napisze, jak tylko brat zostanie pochowany. Na razie przez pierwsze tygodnie nie będzie mógł wrócić do Berlina, a pragnął jak najszybciej zapytać Wilmę, czy zechce być mu żoną, Leśnemu Dworowi panią, a osieroconemu dziecku wyrozumiałą przyjaciółką. Czy dobrze będzie się czuła w cichym Leśnym Dworze miłująca barwne życie mieszkanka Berlina? Dla niego było oczywiste, że będzie musiał tutaj zostać. Dwór musiał mieć pana, a człowiek z rodu Hendrichsenów nie unikał obowiązku wobec rodzowego dziedzictwa. Nie było to dla niego żadną ofiarą. W końcu przecież wybrał inny zawód tylko dlatego, że Leśny Dwór mógł mieć tylko jednego dziedzica.

Ale Wilma? Ona kochała towarzystwo i wesołe życie. Nie będzie jej łatwo przybyć tutaj, do tutejszej samotności. Ale dla jej miłości żadna ofiara nie będzie zbyt ciężka. W to wierzył mocno. Każdej zimy towarzyszyłby jej przez kilka miesięcy w wyprawie do Berlina, aby nie odczuwała braku towarzystwa licznych przyjaciół.

Gdyby mogła być z nim już teraz!

W domu panowała śmiertelna cisza. W sąsiednim pokoju migotały płomienie świec, które zapaliła pani Sonnenmann, poruszane świeżym powiewem powietrza wpadającego tutaj znad wrzosowiska. Nieszczęście ciążyło na ramionach Klausa niczym ołów. Przenikające przez drzwi światło świec drżało na twarzyczce Anny-Dory. Jej sen był taki spokojny. W sercu Klausa rozlała się fala ciepła.

„Mała Anno-Doro, będziesz mi najdroższym dziedzictwem” pomyślał, przeniknięty uczuciem czułości.

Anna-Dora obudziła się o brzasku. Rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem. Objął ją serdecznie. Spojrzała na niego z niemym, trwożliwym zapytaniem i westchnęła.

- Ach, myślałam już, że te straszne rzeczy, to był tylko sen. Ale ty jesteś tutaj, wujku Klausie - a więc i mój biedny tatuś jest chory. Jak on się czuje? Czy śpi teraz? - zapytała cicho.

- Tak, Anno-Doro, śpi.

- I czuje się już lepiej, prawda?

- Nic już go nie boli.

Wyprostowała się i odsunęła z twarzy splątane loki.

- Jak to dobrze, że śpi! Prawda, teraz już będzie zdrowiał? Będę się modlić, tak bardzo jak tylko potrafię, żeby dobry Bóg pomógł mu wrócić do zdrowia, mojemu kochanemu

tatusiowi. I jestem pewna, że już nigdy nie będę niegrzeczna wobec panny Meisenheim, nawet gdyby dziesięć razy powiedziała na mnie „złośliwa ropucha”. Czy naprawdę, wujku, taka jestem?

- Nie, Anno-Doro. Jesteś małym, nieroztropnym dzikusiem o dobrym, miękkim sercu.

A panna Meisenheim odeszła z Leśnego Dworu na zawsze.

Anna-Dora odetchnęła z ulgą.

- Ach, to dobrze. Nie znosiłam jej, mimo moich najlepszych starań. Gdybyś ty, wujku Klausie, mógł być moim nauczycielem, ciebie zawsze bym się słuchała!

Pogładził ją po głowie.

- Twoje życzenie spełni się, Anno-Doro. Zostanę w Leśnym Dworze i będę twoim nauczycielem.

Objęła go za szyję.

- Jesteś taki dobry - taki dobry jak tatuś! Będzie wspaniale, jak tu zostaniesz. Oboje będziemy dbać o tatę, aż będzie znów zdrowy.

Westchnął i pocałował jej czoło.

- Czy nie chciałabyś przespać się jeszcze trochę, Anno-Doro?

Podniosła się szybko.

- Nie, jestem zupełnie wypoczęta. Pozwól mi teraz zajrzeć do tatusia! Przejdę zupełnie cichutko i na pewno nie będę mu przeszkadzać.

Przyciągnął ją do siebie. Oczy mu płonęły. Nadeszła chwila, w której jednak musiała usłyszeć prawdę.

- Zostań jeszcze, Anno-Doro!

Spojrzała ze strachem.

- Wujku Klausie, wyglądasz tak dziwnie - tak - tak - wujku Klausie!

W jej oczach pojawił się paniczny strach. Źrenice rozszerzyły się z przerażenia. Poczul dreszcz przenikający drobne ciało.

- Anno-Doro, czy pamiętasz, co obiecałaś ojcu? Co by się nie miało zdarzyć, zniesiesz to dzielnie i z siłą!

Nagle zbladła jak ściana. Jednym szarpnięciem wyrwała się z jego ramion i zanim zdążył ją powstrzymać, znalazła się w drugim pokoju, u martwego ojca.

Na progu zwolniła, jakby spętana przerażeniem. Później poszła dalej chwiejnym krokiem do samego łóżka. Drżącymi palcami odsunęła z cichej twarzy okrywające płótno.

- Tatusiu. - Jeden jedyny bolesny krzyk.

Klaus stanął obok niej i podniósł ją...

- Anno-Doro, kochana, maleńka dziewczynko, musisz się trzymać!

Spojrzała błędnym wzrokiem. Później, przepełniona gwałtownym bólem, rzuciła mu się w ramiona i mocno objęła za szyję.

- Teraz na całym świecie mam tylko ciebie jednego - powiedziała cichym głosem.

Przycisnęła ją mocno do siebie.

- Należymy do siebie, moja Anno-Doro. Zostanę z tobą!

W następnych dniach Klaus musiał uporządkować sporo spraw. Każdy dzień był wypełniony od rana do wieczora mimo dużej pomocy ze strony pani Sonnenmann i zarządcy.

Do cichego, oddalonego od świata Leśnego Dworu docierały liczne dowody współczucia. Jedno z najważniejszych czasopism opublikowało długi, pełen uznania artykuł o malarzu Albercie Hendrichsenie, zamieszczając również jego portret. Serdeczne pismo z kondolencjami przysłał również Hartwig wraz z rodziną.

Po uroczystości pogrzebowej w Leśnym Dworze znowu zapanowała cisza. Teraz Klaus mógł znaleźć czas, by napisać do Wilmy i jej ojca. W prostych, szczerych słowach poprosił sędziego o rękę córki, tłumacząc jednocześnie, jakie okoliczności skłoniły go, by w tak krótkim czasie po śmierci brata zwrócić się do niego z tą prośbą. Załączony list dla Wilmy brzmiał:

Droga, szanowna, łaskawa Wilmo! Dzisiaj, mimo smutnych okoliczności, pragnę wyznać to, co noszę w sercu już od miesięcy. To, że Panią, najdroższą Wilmo, kocham gorąco i serdecznie, z pewnością nie było dla Pani tajemnicą. W Pani drogich oczach czytałem, że moje bezbrzeżne oddanie nie było Pani niemiłe. Wierzę w to, że odwzajemnia Pani moje uczucia, i dlatego nie chcę dłużej zwlekać z wyrażeniem gorącej prośby: czy zechce Pani zostać moją żoną? Nie zwracałbym się do Pani z tym pytaniem tak krótko po śmierci ukochanego brata, gdyby nie to, że już wcześniej sugerowałem, iż zamierzam Pani i Pani Ojcu zadać poważne pytanie... W najbliższym czasie nie mogę przyjechać do Berlina. Mój brat pozostawił dwunastoletnią córkę. Śmierć ojca wstrząsnęła dziewczynką do głębi. Muszę teraz zostać z nią, jestem bowiem jedynym bliskim człowiekiem, jaki jej pozostał. Również Leśny Dwór potrzebuje gospodarza. W moich rękach spoczął teraz obowiązek zarządzania rodową siedzibą mojej rodziny. Nowe obowiązki nie są dla mnie ciężarem. Ale Pani, droga Wilmo, co Pani o tym myśli? Czy miłość Pani będzie dostatecznie silna, by skłonić Panią do opuszczenia gwarne miasta i pozostania wraz ze mną w otoczonej lasami samotni. Czy zechce Pani być serdeczną opiekunką i wyrozumiałą przyjaciółką dla dziecka mojego brata? Te pytania dręczą mnie, błagam więc o jak najszybszą odpowiedź. Proszę mi wierzyć, że zrobię wszystko, by życie Pani było jasne i piękne. Bycie ze mną nie oznaczałoby również

zupelnej rezygnacji z radości i uroków wielkiego świata. Każdej zimy możemy spędzać kilka miesięcy w Berlinie lub innym wielkim mieście. Tęsknie oczekuję na odpowiedź. Myśli o Pani pomogły mi znieść smutek tych dni. Pozdrawiam Panią z najserdeczniejszym oddaniem

Klaus Hendrichsen.

List wysłał natychmiast po napisaniu.

Później poszedł poszukać Anny-Dory.

Siedziała na brzegu lasu i ogromnymi smutnymi oczami patrzyła przed siebie.

Klaus podszedł do bratanicy.

- Chodź, Anno-Doro, przejdziemy się trochę po lesie - odezwał się spokojnie.

Podniosła się natychmiast i uwiesiła u jego ramienia. Rozmawiał z nią, by odwrócić jej myśli od nieszczęśliwego wydarzenia. Ale rozmowa nieodmiennie powracała do drogiego człowieka, którego straciła. Przypominało go każde drzewo, każdy krzew budził wspomnienia. Klaus rozumiał jej uczucia i akceptował potrzebę nieustannego mówienia o wszechobecnym smutku, była mu za to serdecznie wdzięczna.

- Wujku Klausie, jesteś dla mnie taki dobry! Gdybym tylko umiała ci podziękować za to, że jesteś taki kochany.

- Za to nie trzeba dziękować, maleństwo, jesteś teraz moim kochanym dzieckiem. Chcę zrobić wszystko co w mojej mocy, by zastąpić tę ciężką stratę. Chcę żebyśmy zawsze rozmawiali o naszym droгим zmarłym, bo wtedy będzie tak, jak gdyby wciąż jeszcze był między nami.

Skinęła głową.

- A kiedy nad wrzosowiskiem zacznie zapadać zmrok, a niebo zabarwi się mieniącymi kolorami, wtedy poszukamy go tam, na górze. Sam mi powiedział, że moja dusza tam go odnajdzie - powiedziała cicho.

Klaus czuł potrzebę powiedzenia Annie-Dorze o Wilmie. Z pewnością Anna-Dora ucieszyłaby się, że jej opowiada o swojej przyszłej żonie. Ale szybko zrezygnował z tego pomysłu - mimo wszystko wolał poczekać tych kilka dni, aż będzie mógł Wilmę uważać naprawdę za swoją narzeczoną.

Powoli wracali do domu.

Pani Sonnenmann przygotowała już kawę i pyszne ciasto i nakryła do stołu w altanie stojącej w sadzie owocowym. Koniecznie trzeba było wpłynąć jakoś na apetyt młodego pana doktora i Anny-Dory. W ciągu tych smutnych dni oboje jedli tyle co nic.

Z dużym zadowoleniem stwierdziła później, że każde z nich sięgnęło po ciasto po kilka razy. „Jedzenie i picie utrzymuje ciało i duszę w całości” zwykła mówić. Zadowolona

poszła do domu i zaczęła przygotowania do pożywej kolacji dla swojego państwa.

Dwa dni później Klaus trzymał w rękach odpowiedź Wilmy. List ukrył na tłukącym się, oszalałym sercu. Był akurat w towarzystwie pani Sonnenmann i Anny-Dory, a nie chciał przy świadkach czytać listu, który przynosił rozstrzygnięcie szczęścia jego życia.

Dopiero kiedy został sam, wyciągnął pismo z ukrycia. Ale już słowa, którymi Wilma się do niego zwróciła, były nieprzyjemnym zaskoczeniem.

Szanowny Panie Doktorze

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco. Z niepokojem czytał dalej. Twarz mu zbladła, oczy spoglądały posepnie, a usta wykrzywiły się w wyrazie goryczy. Po kilku chłodno formalnych słowach o zaszczycie, jakim są dla niej jego oświadczyzny, pisała dalej:

Jest mi niezmiernie przykro, że obudziłam w Panu błędne nadzieje. Był Pan dla mnie zawsze miłym, przyjemnym towarzystwem, ale uczucie sympatii, jakie dla Pana żywię, nie jest silne na tyle, by skłonić mnie do zostania Pańską żoną. Tym bardziej nie byłabym w stanie żyć w oddalonej od świata samotni Pańskiego dworu i w młodym wieku podjąć się ciężkich odpowiedzialnych obowiązków wobec Pańskiej bratanicy. Nie byłabym do tego zdolna nawet gdybym Pana kochała. Duszą i ciałem jestem mieszkanką wielkiego miasta i chcę pozostać w Berlinie. Życie na wsi byłoby dla mnie nie do zniesienia. Dlatego lepiej będzie dla nas obojga, również dla Pana, gdy szczerze wyznam, że nie kocham Pana na tyle, by zostać Pańską żoną. Proszę nie mieć do mnie żalu, inaczej nie potrafię. Pozostająca zawsze w przyjaźni

Wilma Hartwig

W bolesnym gniewie rzucił list na biurko i ciężko oddychając podszedł do okna.

Wokół jego ust błąkał się gorzki uśmiech. A więc koniec ze szczęściem i miłością. Czuł narastanie głuchej rozpacz, jak gdyby życie odebrało mu najcenniejsze dobro. Z bolesną furią przywoływał do pamięci wszystkie jej słodkie, ponętne spojrzenia, całą jej obiecującą słodycz. Wszystko było zakłamanie i fałszywe, kokietowała go tylko. Niewzruszenie wierzył w jej miłość - teraz ta wiara została rozbita, ze szczęścia zostały żalosne skorupy, jego życie było skazane na samotność.

Serce musiało teraz stoczyć ciężką walkę. Niewypowiedzianie ciężko było poddać się losowi, pogodzić się z tym, że Wilma była dla niego stracona.

W cichości ducha pojawiła się nawet myśl, że może Wilma należałaby do niego, gdyby został w Berlinie.

Kiedy jednak w kilka dni później na stole śniadaniowym znalazł między innymi listami zawiadomienie o zaręczynach Wilmy Hartwig i Kurta Steina, roześmiał się drwiąco i ostro. Nagle przejrzał grę Wilmy. Musiał ustąpić miejsca bogatszemu, atrakcyjniejszemu

konkurentowi, to wszystko.

Anna-Dora spojrzała na niego zaskoczona.

- Dlaczego śmiejesz się tak strasznie, wujku?

- Och, nic takiego, dziecko - żart, który dotarł tutaj z wielkiego świata. My dwoje jesteśmy bezpieczni w naszym cichym Leśnym Dworze.

Anna-Dora podskoczyła i objęła go za szyję.

- Wujku Klausie, twój śmiech brzmi tak, jak gdybyś raczej wolał się rozpłakać.

Pogładził ją po włosach.

- Czasami rzeczywiście nie wiadomo, czy chce się śmiać, czy płakać. Nie rób takiej zmartwionej miny, maleńka - naprawdę nic się nie stało. Tutaj, popatrz, co mnie tak rozbawiło. Zawiadomienie o zaręczynach.

Anna-Dora przeczytała z poważnym wyrazem twarzy tych kilka słów i nic nie rozumiejąc, potrząsnęła głową.

- Nie znajduję tutaj ani nic do śmiechu, ani do płaczu.

Zmusił się do zachowania spokoju.

- No widzisz. Usiądź więc z powrotem i zabierz się do jedzenia. Wiesz, że pani Sonnenmann gniewa się na nas, jeżeli nie jemy zbyt pilnie.

Prawda, którą Klaus Hendrichsen sobie teraz uświadomił, bardzo mu pomogła osłabić ból po stracie Wilmy. Przecenił ją, widział w niej więcej niż prześliczną, ale jednak pozbawioną serca maskę. Bardzo dobrze, że mu odmówiła! Gdyby została jego żoną, a on dopiero później zdałby sobie sprawę z tego, jaka jest naprawdę - dopiero wtedy byłoby prawdziwe nieszczęście. To rozczarowanie musiał jakoś pokonać. Fałsz jednej kobiety nie zniszczy przecież Hendrichsena.

Oczywiście nie dał sobie z tym rady z dnia na dzień. Ale też nie dał się temu gorzkiemu doświadczeniu pokonać.

* * *

Minęło sześć lat od śmierci Alberta. Kłusownikom wytoczono proces i od tego czasu w okolicy panował spokój.

Klaus Hendrichsen, zgodnie z obietnicą złożoną bratu, został w Leśnym Dworze. Uporawszy się z zajęciami gospodarskimi pilnie oddawał się pracy naukowej. W ten sposób nie mógł narzekać na brak zajęcia.

Jedna z pisanych przez niego prac została właśnie opublikowana i bardzo dobrze przyjęta w miarodajnych kręgach. Teraz opracowywał podręcznik geologii i mineralogii, do pisania którego zainspirowały go lekcje z Anną-Dorą.

Anna-Dora wyrosła w tym czasie na wysoką, ładną dziewczynę. Dziecko zamieniło się w młodą kobietę.

Po śmierci ojca w nieposkromionym dzikusie zaszła duża zmiana.

Dzięki niewyczerpanej, troskliwej opiece Klausowi udało się przywołać z powrotem jej radosną naturę, szczerą radość życia, kiedy już sama pokonała ból spowodowany okrutną stratą. Ale mimo wszystko zmiana była widoczna - Anna-Dora była spokojniejsza, rozsądniejsza i nigdy już nie szalała na wrzosowisku jak dawniej.

Z niemal fanatycznym oddaniem przywiązała się do jedyne go człowieka, z którym łączyły ją więzy krwi. Był ojcem i bratem, nauczycielem i przyjacielem w jednej osobie. Klaus miał na nią nieograniczony wpływ. Nie zrobiła niczego bez jego zgody, a jedno poważne, gorzkie słowo wystarczyło, by była gotowa na wszystko.

Dla Klause ogromną radością było udzielanie tej mądrej, rezolutnej dziewczynce lekcji ze wszystkich dziedzin. Od odejścia panny Meisenheim w Leśnym Dworze nie pojawiła się żadna nowa wychowawczyni. Lekcji religii i muzyki udzielał jej pastor ze wsi. Dwa razy w tygodniu Klaus wysyłał powóz, który go przywoził do dworu. Dwa lata po śmierci ojca Anna-Dora przystąpiła w wiejskim kościółku do konfirmacji. Zakończyli wtedy naukę religii, a uzyskany czas wykorzystali na lekcje muzyki.

Po konfirmacji Klaus zaczął się zastanawiać, po czym omówił ten problem z panią Sonnenmann i pastorem, czy należałoby oddać Annę-Dorę na pensję.

Pani Sonnenmann wyraziła gwałtowny sprzeciw. Anna-Dora powinna być taka, jaka właśnie była, pensja zrobiłaby z niej zarozumiałą, wyniosłą lalkę, stwierdziła.

Również pastor wypowiedział się przeciw pensji, chociaż nie tak szorstko i gwałtownie jak pani Sonnenmann. Czy Anna-Dora mogłaby znaleźć lepszego i sumienniejszego nauczyciela od swojego wuja Klause? A jeżeli nawet na razie zabrakłoby pewnej zewnętrznej ogłady, wystarczy krótki czas, by w odpowiednich warunkach natychmiast ją sobie przyswoiła. Nie ma natomiast żadnej pewności, że pensja nie zmaćiłaby w jakiś sposób jej czystego, klarownego charakteru. Przybywa tam zbyt wiele różnych osób, a właśnie te najmniej czyste wywierają zwykle największy wpływ.

Klausowi spadł kamień z serca, gdy się okazało, że znalazł popleczników dla swoich własnych życzeń. Jego życie zrosło się tak bardzo z życiem Anny-Dory, że rozstanie sprawiłoby mu ogromny ból.

A sama Anna-Dora? Kiedy jej powiedział, o czym rozmawiał z pastorem i panią Sonnenmann, rzuciła mu się z gwałtowną serdecznością w ramiona i spojrzała na niego oczami w których zaszklily się łzy.

- Chciałeś to zrobić, wujku Klausie? Miałabym odejść od ciebie i od Leśnego Dworu? Nie, nie możesz mnie odesłać. Tatuś obiecał mi już wtedy, że nie będę musiała wyjeżdżać. A ja i tak nie pojedę - z całą pewnością nie wyjadę, serce pękłoby mi na tysiąc kawałków.

Uspokoił ją.

- I nie musisz, Anno-Doro, ale musiałem zapytać o opinię tych dwoje oddanych i rozumiejących nas ludzi. Nie chciałem, by decydowały wyłącznie moje egoistyczne pragnienia.

Mocno przytuliła swój policzek do jego.

- Ty sam też tego nie chciałeś, prawda, że nie chciałeś? - zapytała z naciskiem.

- Nie, dużo bardziej pragnąłem zatrzymać ciebie przy sobie.

Słyszając to objęła go z okrzykiem radości.

- Ach, wiedziałam przecież! Za bardzo się kochamy, by zgodzić się na rozstanie.

W słowach tych drżała tak gorąca, głęboka czułość, że w sercu Klausa obudziło się coś, czego nie był w stanie nazwać po imieniu.

Natychmiast po tym Anna-Dora wybiegła podziękować pani Sonnenmann za to, że nie chciała się zgodzić, by ją odesłano. Dziwnie wzruszony Klaus odprowadził ją wzrokiem.

Od tego czasu w jego serdecznej trosce o Annę-Dorę pojawił się ton, który czuł tylko on jeden, chociaż wpłynęło to na cały jego stosunek wobec dziewczyny. Niezauważalnie zaczął od tego momentu dostrzegać w Annie-Dorze dojrzewającą młodą kobietę, a kiedy czasami pytała go z roześmianym zdziwieniem, dlaczego jest taki „dziwny” wspomagał się żartami, by jakoś wybrnąć z sytuacji i nie zranić jej bezpośredniej prostoty.

- Jesteś teraz młodą damą, Anno-Doro. Właściwie wszyscy powinni się do ciebie zwracać „łaskawa panienko”.

Roześmiała się jasnym głosem.

- Może ty też? Ach, wujku Klausie, to byłoby zabawne.

Pani Sonnenmann wyjaśniła Annie-Dorze, że prawdziwa gospodyni na wsi powinna nauczyć się gotować. Dziewczyna z zapałem oddała się poznawaniu tej szlachetnej sztuki.

- Wiesz, wujku, spróbuję, czy chociaż w tej dziedzinie nie udałoby mi się dojść do perfekcji. Poza tym nie mam przecież żadnego, nawet najmniejszego talentu. Muzyka jest moją słabą stroną, najchętniej wyję z wichrem na wrzosowisku w zawody. Gra na pianinie to następne nieszczęście. Nieustannie obieram złe tony, a jeżeli nawet czasami czuję

wewnętrzną potrzebę, żeby dać uczuciom wyraz poprzez grę, wynika z tego taka kocia muzyka, że aż żal. I malowanie, wiesz, że nade wszystko chciałabym malować. Cudowne obrazy, jakie tworzył tatuś. Na górze w moim pokoju wisi jego ostatni obraz - niedokończony. Farby i pędzel z paletą są też, i czasami czuję drżenie w palcach, chciałabym móc tylko dokończyć ten jedyny obraz. Czasami odważam się nawet zrobić kilka pociągnięć - obok obrazu, na płótnie. Ale, o grozo, powstają tylko obrzydliwe kleksy! Moje ręce są niezgrabne. Malarskie oczy mam na pewno - dostrzegam i pojmuję wszystko, co piękne - ale te niezgrabne ręce! Jestem wyzuta z wszelkich talentów. A więc teraz spróbuję szczęścia w puddingach i pieczeniach.

Była szczęśliwa, gdy Klaus pochwalił przygotowaną przez nią potrawę i dzielnie ją pochłaniał. W ogóle, jeżeli tylko mogła zrobić coś dla niego, jej piękne oczy jaśniały radością.

Ale chociaż nie opuszczał jej nastrój radości i beztroski - kiedy słońce zachodziło, a niebo nad wrzosowiskiem zatapiało się w rozpalonych kolorach, stawała poważnie i cicho, w skupionym milczeniu. Gdy Klaus stawał u jej boku i ramieniem obejmował jej rozkwitającą postać, obejmowała go i kładła głowę na jego ramieniu.

- Tam jest teraz tatuś, czuję, że jest z nami - mówiła szeptem i rozmarzonymi oczami patrzyła na przepyszne bogactwo kolorów.

Ostatniego, niedokończonego obrazu ojca, tak samo jak małej kopii „Zachodu słońca nad wrzosowiskiem” strzegła jak największego skarbu. Często przykładła rozpalony policzek do ich chłodnej płaszczyzny i wydawało jej się, że to ojcowska ręka pogładziła ją po policzku.

Klaus Hendrichsen już dawno pokonał ból z powodu utraty Wilmy Hartwig. Gdy się dowiedział, jakim była bezwartościowym człowiekiem, straciła w jego oczach cały swój urok. Zdrowej, żywiołowej naturze Klause obce było sentymentalne rozpamiętywanie się w rozpacz. Pogodził się z rozczarowaniem, które przyniosło mu życie.

O nowym związku nigdy już nie myślał. Nie spotkał też kobiety, o której posiadaniu by zamarzył. Anna-Dora znaczyła dla niego więcej, niż sam przed sobą chciał przyznać. Nie było dla niego żadną ofiarą poświęcenie jej tego, co w jego życiu było najważniejsze. Radość sprawiało mu wywieranie wpływu na rozwój tej wrażliwej, mądrej dziewczyny. Jej szczerzy zapal, by sprawiać mu radość, by widzieć jego zadowolenie, wzruszał go, bo przecież wiedział, że w rzeczywistości nadal była niesfornym urwisem.

Uczucie przynależności było silnie zakodowane w sercach obojga. Anna-Dora była jeszcze zbyt młoda i niedoświadczona, by zrozumieć, jakiego ciężkiego zadania podjął się

Klaus, usiłując zastąpić jej ojca. Nie wiedziała, czym dla takiego młodego człowieka było odsunięcie się od świata pulsującego życiem. Nigdy nie dał po sobie poznać, że w Leśnym Dworze mu czegoś brakowało. W gruncie rzeczy było tak naprawdę. Duchowej podniety dostarczały mu książki i obszerna korespondencja z przyjaciółmi. Jego istota nabrała dzięki temu głębi, a kontakt z kipiącą energią dziewczyną i życiodajną naturą stanowiły niewyczerpane źródło nowych sił dla jego naturalnej radości życia.

Każdej zimy spędzał kilka tygodni w Berlinie. Od czasu do czasu udawał się na kongres naukowy. Były to złe dni dla jego bratanicy. Wujka Klause brakowało jej na każdym kroku. Starła się oczywiście dzielnie nad sobą panować, by nie dać mu poznać, jak bardzo cierpiała chociażby podczas bardzo krótkiego rozstania. Ale on czuł to i kiedy Anna-Dora skończyła siedemnaście lat, oświadczył jej, że od teraz będzie mu towarzyszyć w podróżach.

Radość Anny-Dory była ogromna. Dziewczyna była dumna, że jej to zaproponował.

Klaus miał w tym swoje własne cele. Podczas ostatniej wizyty w Berlinie rozmawiał o Annie-Dorze z przemiłą i serdeczną matką kolegi z czasów studenckich. To ona zaproponowała, by w następną zimę przywiózł do Berlina młodą damę. Ona sama zamierzała wziąć dziewczynę pod opiekę i wprowadzić do towarzystwa. Nie jest dobrze, gdy taką młodą istotę trzyma się w zupełnej izolacji od świata. W każdym razie musi się nauczyć tańczyć, chodzić do teatru i na koncerty i nauczyć się kontaktu z towarzystwem młodych mężczyzn i kobiet.

Rozumiał, że dobra, mądra kobieta miała rację i obiecał, że w przyszłości będzie zabierał ze sobą Annę-Dorę za każdym razem, gdy przyjedzie do Berlina.

W konsekwencji tej rozmowy wymieniono jeszcze kilka listów między panią profesorową Schrott - tak brzmiało nazwisko miłej damy - i Klausem Hendrichsenem.

Obszernie i wyczerpująco ustalono wszystkie szczegóły planu.

Anna-Dora miała przede wszystkim otrzymać prywatne lekcje tańca.

Jak twierdziła starsza pani, każda młoda dziewczyna jest urodzoną tancerką.

Zapewniała, że nauka prowadzona według metody nauczyciela tańca, będącego jej znajomym, zakończy się najpóźniej po upływie dwóch tygodni. Jeżeli więc Klaus wraz ze swoją podopieczną pojawi się w Berlinie w listopadzie lub na początku grudnia, młoda dama będzie jeszcze przed Bożym Narodzeniem gotowa do pójścia na bal.

To, że Boże Narodzenie musiało być obchodzone w Leśnym Dworze, było dla wszystkich Hendrichsenów niepodważalną koniecznością. Klaus i Anna-Dora mieli więc powrócić tam na okres świąteczny i dopiero w styczniu ponownie przyjechać do Berlina, by wziąć udział w najróżniejszych balach i spotkaniach towarzyskich.

Dopiero wyjaśniwszy i ustaliwszy wszystkie szczegóły z panią profesorową Schratt, Klaus zapoznał Annę-Dorę z programem pobytu w Berlinie. Z początku była nieco zawiedziona, sądziła, że będzie mogła poznawać Berlin wyłącznie w towarzystwie wujka Klause, jej przewodnika i towarzysza. Okazało się, że miała poznać mnóstwo nowych ludzi, tańczyć i spędzać czas w dużych towarzystwach. Nie brzmiało to dla niej zachęcająco. Westchnęła i spojrzała na niego żałośnie.

- Czy to wszystko konieczne, wujku Klausie?

- Tak, moje dziecko, musisz się nauczyć przynajmniej, jak się bywa w towarzystwie.

- Ale od razu tańczyć - przecież właściwie już umiem, podczas ostatniego kiermaszu na wsi odtańczyłam z tobą wspaniałego walca. A z uczniami z nadleśnictwa grummerskiego polkę. To przecież wystarczy.

- Nie, dziecko, to nie wystarczy. Jest jeszcze mnóstwo tańców, których musisz się nauczyć, i które na pewno ci się spodobają.

- Czy zatańczysz ze mną wszystkie?

- Wszystkich nie, ale na pewno niektóre.

- Czy to niemożliwe, żebyś zatańczył ze mną wszystkie? - zapytała Anna-Dora ponownie.

Roześmiał się.

- Nie, Anno-Doro, to niemożliwe.

- Szkoda.

- Widzę, że ci jest przykro, że musisz ze mną jechać do Berlina - droczył się z nią. - Może wolisz, żebym znów pojechał sam?

Słyszając to, objęła go mocno za szyję.

- Nie, jadę z tobą, przynajmniej będziemy razem.

* * *

Tak więc Anna-Dora pojechała do Berlina, uczyła się tańca i spędzała czas w towarzystwie. Dobrze się z tym wszystkim czuła. Niezbyt wprawdzie wiedziała, jak się zachowywać w towarzystwie młodych kobiet, zbyt mało miały ze sobą wspólnego, za to wśród mężczyzn czuła się znacznie swobodniej, nie robili złośliwych, dezaprobujących min, jeżeli zdarzyło jej się, że jakąś szczerą reakcją wychyliła się poza konwencjonalne ramy. Wręcz przeciwnie, cieszyła ich jej świeża, pierwotna naturalność. Nic więc dziwnego, że

ubiegali się o względy ślicznej, szczupłej dziewczyny.

Jak ładna i urocza była Anna-Dora Klaus zauważył tak naprawdę dopiero w Berlinie. Widział bardzo dobrze, jaki podziw budziła u młodych mężczyzn. Ale to spostrzeżenie wcale go nie ucieszyło. To oczywiste, że z przyjemnością zdał sobie sprawę z tego jak uroczą dziewczyną stała się jego bratanica, ale gorliwe wysiłki młodych mężczyzn o pozyskanie jej względów wywoływały w nim przykre wrażenie niezadowolenia. Bolesne uczucie, które wprawdzie usiłował przezwyciężyć, ale bezskutecznie, uczucie bowiem było coraz silniejsze i dotkliwsze, coraz bardziej podobne do zazdrości.

Klaus przeraził się, gdy po raz pierwszy pomyślał o słowie zazdrość. Odsunął je od siebie i wmawiał sobie, że jest w stanie żyć w stosunku do Anny-Dory wyłącznie uczuciami ojcowskimi lub braterskimi. Ale nie przeszkadzało mu to z ukrytym niepokojem obserwować każdego mężczyznę, który zbliżył się do Anny-Dory. W jej obecności opanowywał się i zachowywał się jak zawsze. Ona zaś pozostawała wobec młodych mężczyzn jak dawniej niewinna i swobodna, z niektórymi z nich zaprzyjaźniła się i śmiejąc się obiecywała, że powróci w następną zimę, jeżeli wujek Klaus zechce ją znowu zabrać ze sobą. Naturalnie domagano się tego od „wujka Klause”, a ten musiał uprzejmym tonem obiecać to, czego się od niego domagano.

W każdym razie odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie wyruszyli z powrotem do domu. Ku jego wewnętrznemu zadowoleniu Anna-Dora, usadowiwszy się wygodnie w przedziale, powiedziała z westchnieniem:

- Dzięki Bogu, wujku Klausie, że znów będziemy w naszym kochanym Leśnym Dworze!

Spojrzał z radością, a jednak nieco niepewnie na jej śliczną twarzyczkę.

- Czyżbyś nie bawiła się naprawdę dobrze, Anno-Doro?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Ależ tak, bardzo dobrze! Taniec jest wspaniały, pani profesorowa Schratt była dla mnie bardzo dobra i kochana. Ale wydaje mi się, że żadna młoda dama mnie nie lubiła. Ja oczywiście też nie polubiłam żadnej z nich na tyle, by chcieć mieć w niej przyjaciółkę. A panowie, tak, niektórzy byli bardzo, bardzo mili, ale zawsze budzili mój śmiech, kiedy opowiadali swoje ozdobne komplementy i przewracali oczami. Musiałam się strasznie starać, żeby zachować powagę. Najczęściej w ogóle nie rozumiałam, czego ode mnie chcieli, a kiedy pytałam, słyszałam w odpowiedzi: „Łaskawa panienska lubi żartować!”

Starła się naśladować ochryply ton i wybuchła głośnym śmiechem. Klaus poczuł się wewnętrznie uszczęśliwiony jej odpornością. Ale podniósł palec i pogroził jej z uśmiechem:

- Jesteś bardzo krytyczna, Anno-Doro.

Szybko chwyciła jego dłoń i spojrzała na niego promiennym wzrokiem.

- Nie spieraj się ze mną. Najwspanialej było, kiedy byłam tylko z tobą w operze albo w teatrze, albo w muzeach. Jak w kościele, tak poważnie się tam zawsze czułam. I na to cieszę się najbardziej, jeżeli znowu zabierzesz mnie w następną zimę. Ale teraz najbardziej cieszę się na nasz kochany, stary Leśny Dwór, na las i wrzosowisko, na panią Sonnenmann i wszystko, co jest mi bliskie.

- Nie chciałabyś więc zostać w Berlinie na zawsze?

Spojrzała na niego zupełnie zaskoczona.

- Za żadne skarby! Wiesz, zimą można wytrzymać kilka tygodni, a i teatr strasznie mi się podoba. Ale zawsze być w tym głośnym, wielkim mieście, nie móc spacerować przez las i wrzosowisko, gdy zapragnie tego serce - nie, tego bym nie wytrzymała!

- A nie będziesz się czuła bardzo samotnie w Leśnym Dworze, nie będzie ci brakowało wesołego towarzystwa?

Potrząsnęła głową.

- Przecież mam ciebie - powiedziała po prostu.

Wiedział już, że z wielkemiejskiego zamętu powracała do domu z niezmiennym sercem i poczuł falę szczęścia opanowującą całe jego wnętrze.

Ale kiedy później nastaly zwyczajne, ciche dni, do duszy przekradały mu się często niespokojne myśli. Zastanawiał się, co też się stanie, kiedy serce Anny-Dory obudzi się pewnego dnia, kiedy wyjdzie za mąż. Myśl o tym wywoływała niewymowne cierpienie. Dlaczego tak się działo? Czy tylko dlatego, że byłby to koniec serdecznej wspólnoty? Czy naprawdę tylko dlatego?

Klaus Hendrichsen nie był człowiekiem, który sam ze sobą długo bawiłby się w chowanego. Nie chciał oszukiwać siebie samego i patrzył prawdzie prosto w twarz. Zdał sobie sprawę z tego, że kocha Annę-Dorę - nie jak ojciec albo brat, lecz tak jak mężczyzna kocha kobietę. Miłość ta z upływem lat stała się silniejsza i głębsza niż to, co kiedyś odczuwał wobec Wilmy Hartwig.

Jednocześnie jednak tłumaczył sobie, że jest to miłość bez żadnych perspektyw. Dla Anny-Dory był wyłącznie kochanym wujkiem Klausem niczym ponad to. Czy w ogóle nie było mu dane doświadczyć szczęścia w miłości? Czy i to jeszcze silniejsze uczucie miało jej przynieść jego sercu tylko nowe rany? Była to gorzka i bolesna świadomość. Miał jednak silne postanowienie ukrycia swej miłości głęboko w sercu. Nie można było zmacić czystego spokoju Anny-Dory, za żadną cenę. Jej szczęście i jej spokój były dla niego świętością, nie

tylko dlatego, że obiecał swojemu bratu, że będzie jej opiekunem i obrońcą, lecz również dlatego, że jego własne serce pragnęło osłaniać ją przed jakąkolwiek przykrością.

Trzymał się więc dobrze w ryzach. Nawet najmniejszym sygnałem nie zdradził, że w jego uczuciu wobec niej zaszła jakakolwiek przemiana.

W następną zimę pojechali do Berlina dopiero po Bożym Narodzeniu. Tym razem Anna-Dora była jeszcze bardziej oblegana przez ród męski. Podczas minionego roku rozniosła się w dodatku wiadomość, że piękna dziewczyna była zamożną dziedziczką. Anna-Dora tak samo jak poprzednio z dużą przyjemnością obserwowała ich zabiegi, nadal jednak nie miała pojęcia, o co im właściwie chodzi.

Gorącego niepokoju w spojrzeniach Klausea nie dostrzegą, nie umiałyby zresztą pojąć jego znaczenia. W swojej prostej, uroczej niewinności i czystości serca stawiała wobec wysiłków zdobycia jej uwagi młodych mężczyzn i karykutowała większość z nich w prześmieszny sposób, gdy znalazła się wyłącznie w towarzystwie Klausea. Była jeszcze tak dziecinna i nieświadoma, że w ogóle nie rozumiała, co się wokół niej działo.

Nadal najwięcej radości sprawiało jej przebywanie w towarzystwie Klausea. Gdy tylko mieli wolny wieczór, prosiła o wyjście do teatru. Siedziała zachłyśnięta zachwytem, mocno przytulona do jego boku, a przy szczególnie wzruszających scenach obejmowała dłońmi jego ramię, jak gdyby musiała mieć jakieś oparcie. Wsłuchiwał się w jej głęboki oddech i przepełniony ukrytym szczęściem patrzył w jej duże, promienne oczy. Wszystkimi zmysłami przeżywała przedstawienia, nie zdając sobie sprawy z tego, że wydarzenia dziejące się na scenie były tylko fikcją.

Kilkakrotnie przypadek zetknął Klausea z Wilmą Stein. Spotkali się w kilku salonach towarzyskich. Jej widok budził w nim coś w rodzaju nie dającego wiary zdumienia. Czy naprawdę kiedyś tak gorąco kochał tę kobietę?

Ciału przybyło kilogramów, a rysy twarzy straciły ostrość. Niebieskie oczy, których jasny, miły wyraz tak go kiedyś zachwycił, spoglądały zimno i ze znużeniem. Nie dało się uniknąć powitania i przedstawienia jej Anny-Dory. Odpowiedziała kilkoma zwyczajowymi frazami i z ciekawością zmierzyła wzrokiem młodą dziewczynę, myśląc przy tym: „jak to dobrze, że nie zostałam panią doktorową Hendrichsen; akurat byłoby mi na rękę, prezentować się w towarzystwie z taką dorosłą bratanicą! Od razu dodałoby mi to kilka lat.”

Klaus jak najszybciej poprowadził Annę-Dorę dalej. Spojrzała na niego.

- Wujku Klausie, czy bardzo lubisz tę panią Stein?

- Nie - odpowiedział twardo brzmiącym głosem.

Anna-Dora odetchnęła.

- Ja też nie, ma takie zimne oczy i patrzyła na mnie z taką ciekawością, jak gdybym była jakimś cudem natury.

- Bo też jesteś - powiedział, żeby zająć ją czymś innym.

Spojrzała pytającym wzrokiem.

- Dlaczego jestem?

- Bo już się tyle natańczyłaś, a wciąż jeszcze nie jesteś zmęczona!

Roześmiała się i beztrząsco opowiadała dalej, aż uprowadził ją następny tancerz.

Również tym razem z lekkim sercem pożegnała się z Berlinem. Klaus zaś odczuł z tego powodu wewnętrzne zadowolenie.

Życie w Leśnym Dworze przybrało swój zewnętrznie spokojny, równomierny bieg. Wydawało się, że nic się nie zmieniło. Ale dla Klausego wszystko było inaczej. Czuł, że był zbyt młody, by móc żyć obok Anny-Dory bez żadnych pragnień. Krew pulsowała w tętnicach niespokojniej i goręcej i gwałtownie domagała się swoich praw. Nie było mu łatwo zachować zewnętrzny spokój. W obcowaniu z nią był nieco niepewny. Cierpki dystans mieszał się z miękką, serdeczną czułością. Gdyby dziewczyna nie była tak naiwnie dziecięca, z pewnością by ją to zastanowiło. Ale w swojej naiwności nie dostrzegłaby niczego, nawet gdyby nie był aż tak bardzo panem samego siebie.

To, że ją kochał było dla niej tak samo oczywiste, jak to, że odwzajemniała jego uczucie. Do niego należała każda myśl, każde odczucie jej czystego serca, właśnie dlatego, że był jej wujkiem Klausem, jej jedynym, najdroższym krewnym, który należał do niej, tak jak ona do niego. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że mogłoby być inaczej. Z naturalnym egoizmem kochanego dziecka przyjmowała wszystkie dowody serdecznej opieki.

Że mężczyzna w jego wieku pragnie być z kobietą, tęskni za miłością, jakiej nie znała, jaką przeżyła niczym piękną baśń tylko podczas wizyt w teatrze, o tym w ogóle nie pomyślała. Nie był dla niej nikim więcej, jak tylko wujkiem Klausem, któremu dawała całą czułość dziecięcego serca, ona zaś była jego Anną-Dorą, jego dzieckiem, dobrą przyjaciółką, jego blaskiem słońca. Nie przyszło jej do głowy, że w przyjaznym związku z nią mogłoby mu czegoś brakować, ponieważ sama nie doświadczyła jeszcze najpotężniejszej siły mogącej zmienić całe życie.

Ponieważ wuj Klaus wypełniał całe jej życie, sądziła, że również jego jest zupełnie wypełnione. Jak bardzo to było prawdziwe, wiedział tylko on jeden. Ona w każdym razie nie oczekiwała od życia nic ponad to, żeby zawsze było tak, jak było teraz.

* * *

Był jasny, czysty poranek czerwcowy.

Anna-Dora wstała wcześniej niż zwykle. Szeroko otworzyła okno, by otworzyć drogę porannemu wietrzykowi. Głęboko wciągnęła powietrze i błyszczącym wzrokiem zapatrzyła się na mieniające się ponad lasem światło słońca. Nad ziemią rozpościerało się niebo o głębokim niebieskim kolorze i nie zakłóconej nawet najmniejszą chmurką czystości.

Z lasu docierały tysiące rozczwierkanych głosów ptasich. Uśmiechnięta, wsłuchiwała się w śpiew ptaków wychyliła się przez okno. Włosy miała jeszcze w nieładzie od snu.

Okna jej pokoju znajdowały się nad drzwiami wejściowymi.

Kiedy tak się wychyliła, z domu wyszedł Klaus. Zawołała do niego.

- Dzień dobry, wujku!

Spojrzał do góry. Objął promiennym wzrokiem uroczy obrazek, zamknięty ramą okienną, a jego czoło poczerwieniało. Mimo to odpowiedział ze spokojnym uśmiechem.

- Dzień dobry, Anno-Doro! Już się wyspałaś?

Skinęła głową.

- Wyjątkowo. Nie wytrzymałam dłużej w łóżku. Ptaki śpiewały tak ślicznie. Posłuchaj tylko, na pewno śpiewają serenadę poranną specjalnie dla mnie.

Uśmiechnął się.

- Myślisz, że wiedzą, że masz urodziny?

Zrobiła zadowoloną minę.

- Ależ oczywiście, wujku. Jesteśmy przecież dobrymi starymi znajomymi, ptaki i ja.

Dokąd idziesz?

- O to się nie pyta, kiedy się ma urodziny i chce się mieć niespodziankę!

Gwałtownie wychyliła się jeszcze bardziej.

- Cudownie! Masz dla mnie niespodziankę? Czy to coś bardzo miłego?

Z udawanym zwątpieniem wzruszył ramionami.

- Gdyby człowiek mógł zawsze dokładnie wiedzieć, co młoda dama uzna za miłe!

Pogroziła mu palcem.

- Hej, czy mam się obrazić?

- Dlaczego, co znowu zbroiłem?

- Nazwałeś mnie „młoda dama”.

- A czy nie jesteś nią, Anno-Doro?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie dla ciebie! Jestem twoją Anną-Dorą - i niczym więcej!

Serce zabiło mu silniej i ciężiej, ale na zewnątrz nic nie zdradziło napływających uczuć.

- I niczym więcej - powtórzył cicho. Potem żywiej kontynuował: - A więc do roboty, Anno-Doro! Urodzinowe ciasto, które upiekła dla ciebie pani Sonnenmann, pachnie już w całym domu. Szybko, za piętnaście minut musisz być gotowa!

- Czy wtedy będziesz już z powrotem ze swoją miłą niespodzianką? - zapytała wietrząc delikatnym noskiem za zapachami ciasta.

- Z całą pewnością.

- Oj, to się śpieszę!

Ręką posłała mu całusa i zniknęła w głębi pokoju.

W zamyśleniu patrzył w stronę pustego okna, oddychał ciężko i głęboko. Jak długo jeszcze będzie jego Anną-Dorą, jak długo będzie mógł się jeszcze cieszyć szczęściem, które mimo wszystko odczuwał w jej obecności? Jak w ogóle miała wyglądać jego przyszłość? Kiedy pewnego dnia jej serce się przebudzi, do kogo je zwróci? Czy opuści wtedy Leśny Dwór, żeby podążyć w życie za kochanym mężczyzną, czy też ów obcy wprowadzi się do kochanych starych murów? Albo zostanie wtedy samotny i opuszczony w Leśnym Dworze, albo będzie musiał odejść. Wspólne życie byłoby nie do pomyślenia. Jego życie stanie się zimne i puste, zabraknie tego co w nim najlepsze.

Powoli obszedł dom. Po drugiej stronie stał delikatny, wytworny powozik. Zamówił go jako niespodziankę dla Anny-Dory. Lubiła sama powozić, a duże lando było zbyt ciężkie i nieeleganckie. Powóz został przywieziony dopiero późnym wieczorem poprzedniego dnia i Klaus postanowił najpierw sam go obejrzeć, zanim nakaze zajechać nim przed dom. Uważnie obejrzał zgrabne a jednak mocne podwozie. Ze znanstwem zbadał resory, szprychy i okucia. Silnymi ramionami podniósł powóz na kołach, aby sprawdzić jego ciężar. Oględziny zadowolili go. Udał się do stajni i nakazał parobkowi zaprząć powóz i podstawić przed dom.

Teraz wrócił do pokoju, gdzie stał już przygotowany stół z prezentami dla Anny-Dory. Pani Sonnenmann nakryła również do stołu śniadaniowego. Przy ładnej pogodzie zwykle jedli śniadanie w ogrodzie, ale dzisiaj Anna-Dora z pewnością nie chciałaby rozstawać się ze swoimi prezentami.

W pokoju dziennym nic się przez sześć lat nie zmieniło, tak samo jak i w pozostałych pomieszczeniach Leśnego Dworu. Może stare dębowe meble jeszcze trochę przyciemniały. Za to w oknie kwitło mnóstwo ciasno obok siebie poustawianych kwiatów, pielęgnowanych

w doniczkach przez samą Annę-Dorę. Nadawały pokojowi weselszy ton.

Stół śniadaniowy przykryty był pięknym, haftowanym obrusem lnianym. Na środku stało duże, pachnące ciasto, w które pani Sonnenmann wetknęła dziewiętnaście świeczek, obok niego oryginalny serwis porcelanowy, bardzo cenny i wyjmowany tylko z okazji nadzwyczajnych uroczystości.

Na środku pokoju stał stół urodzinowy młodej dziedziczki Leśnego Dworu. Na nim piętrzyły się kwiaty, książki i wszelkiego rodzaju drobiazgi, jakie mogą ucieszyć młodą dziewczynę. Klaus spełnił wszystkie drobne prośby, jakie kiedykolwiek Anna-Dora wypowiedziała głośno.

Klaus rzucił jeszcze jedno kontrolujące spojrzenie na to wszystko i usiadł przy stole. Oparł głowę o rękę i patrzył przed siebie, w męskich energicznych rysach malował się wyraz zamyślonej powagi.

Nie pozostało jednak wiele czasu na rozmyślania. Po chwili do pokoju weszła solenizantka. Miała na sobie ładną białą sukienkę z delikatnej tkaniny, która podkreślała powaby jej szczupłego, ozdobionego młodością ciała. Szyję i piękne zaokrąglone ramiona pozostawiała odkryte.

Nie mając pojęcia, jak podniecająco działa jej świeża, nietknięta uroda, przez chwilę patrzyła mu w twarz z oczekiwaniem.

- A więc, wujku Klausie?

Podniósł się z uśmiechem.

- Czy z pełnym uszanowaniem mam ci złożyć moje najlepsze życzenia?

Podbiegła do niego i objęła mocno, podając mu świeże czerwone wargi do pocałunku.

W jego żyłach rozszalał się płomień, usta tylko przelotnie dotknęły dziewczęcych warg.

- Kochanie, wiesz przecież, jak serdeczne są moje życzenia dla ciebie. Wcale nie muszę tego mówić na głos.

Potrząsnęła głową i spojrzała mu rozjaśnionymi radością oczami w twarz.

- Nie musisz mi nic mówić, wujku Klausie. Ale ja pragnę ci podziękować za twoją miłość i dobroć!

Nie chciał, by owładnął go nastrój czułości i zaprowadził ją do stołu z prezentami.

- Popatrz najpierw, co dla ciebie skonstruowałem.

Przez chwilę ocierała się policzkiem o jego policzek. Potem puściła go i oglądała z naturalną radością prezenty.

- Wujku, który był właściwie tą miłą niespodzianką? Spiętrzyłeś tutaj tyle rzeczy, że

naprawdę nie wiem, która z nich jest najmiłsza.

- To jeszcze nadejdzie, Anno-Doro.

Spojrzała zdziwiona. - Jeszcze więcej?

- Tak. - Najważniejsza rzecz stoi na dworze przed drzwiami. Wyjrzyj tylko na zewnątrz.

Anna-Dora podbiegła do okna i wyjrzała, a z jej ust wyrwał się zachwycony okrzyk.

- Powóz dla mnie!

Jak wiatr pognała do drzwi. Poszedł za nią, uśmiechając się. Wciąż jeszcze była prawdziwym dzieckiem - Bogu dzięki - Bogu dzięki!

Kiedy wyszedł, siedziała już w powozie, trzymając cugle podług wymogów sztuki.

Wytwornym łukiem przejechała koło niego, promieniejąc radością. Później rzuciła cugle parobkowi i zeskoczyła prosto w rozpostarte ramiona Klausa.

- Och, ty - dobry, kochany, najlepszy, tak się cieszę! Będę mogła zaraz dzisiaj po południu pojechać do wsi, przecież to musi zobaczyć pastorostwo. Cudny, taki lekki i wytworny - strasznie się cieszę, mogłabym cię udusić z radości! Mogę jechać do pastorostwa, prawda?

Skinął głową w milczeniu. Z serca do gardła unosiła się fala gorąca, która nie pozwalała mu mówić.

Anna-Dora nie miała czasu zwracać na niego uwagę. Ponownie podeszła do powozu i oglądała go z okrzykami zachwyty. W radosnym podnieceniu nie przestawała mówić. Miał więc czas, by się opanować.

Pani Sonnenmann i zarządca wyszli z domu.

Również oni musieli podzielić zachwyty nad powozem, kiedy już złożyli życzenia urodzinowe. Starzy ludzie, którzy byli w Leśnym Dworze jeszcze zanim Anna-Dora przyszła na świat i serdecznie lubili swoją młodą panią, cieszyli się razem z nią.

Trwało jeszcze dobrą chwilę, zanim Anna-Dora napatrzyła się do syta na swój delikatny, wytworny pojazd.

- Jeżeli teraz nie pójdziesz ze mną na śniadanie, z głodu opuszczą mnie wszystkie siły - powiedział Klaus po chwili, uśmiechając się do bratanicy.

Anna-Dora natychmiast uczepliła się jego ramienia.

- Chodź, mój biedaku! Dostanie ci się ogromny kawał mojego ciasta urodzinowego!

Zwinnymi, zgrabnymi dłońmi obsłużyła go, gdy siedzieli przy śniadaniu. Położyła przed nim sporą porcję i uparła się, żeby zjadł wszystko.

- W przeciwnym razie to będzie moja wina, jeżeli spotka cię śmierć głodowa -

przekomarzała się.

Zrobił jak chciała, chociaż głód zaspokoił bardzo szybko. Milcząc patrzył w zamyśleniu na jej szczupłe dłonie, które starały się dla niego i nagle ponownie napłynęło gorące, wszechogarniające przerażenie, że któregoś dnia będzie ją musiał utracić. Coś z tego strachu pojawiło się nagle w jego oczach. Anna-Dora przerwała nagle w środku miłej paplaninki i spojrzała przestraszona.

- Wujku Klausie, co się stało?

Wzdrygnął się.

- Co by się miało stać, dziecko?

Ponad stołem ujęła go za rękę i spojrzała z troską.

- Wyglądasz tak dziwnie, tak niezwykle. W twoich oczach było tyle smutku - tak, z całą pewnością! Czy czegoś ci brakuje? Czy może nieświadomie sprawiłam ci ból, uraziłam, zdenerwowałam? Musisz mi powiedzieć.

Siłą woli przywołał na twarz uśmiech.

- Dzieciaku, czy już w biały dzień widzisz duchy? Dlaczego miałbym być smutny?

Odetchnęła i uśmiechając się odgarnęła z twarzy pasemko włosów.

- Możesz się ze mnie śmiać, naprawdę się wystraszyłam! Co też widziałam? To przecież głupie, w ogóle pomyśleć, że mógłbyś być smutny w moje urodziny. Przecież wtedy i ja nie mogłabym się niczym cieszyć!

- Naprawdę, Anno-Doro? Czy bardzo by ciebie zmartwiło, gdybym ja był smutny?

Spojrzała mu prosto w twarz z ogromną serdecznością.

- Na całym świecie nic nie sprawiłoby mi większej przykrości. Przecież tak ciebie kocham - powiedziała cicho.

Drżącą dłonią potarł czoło. Jej słowa, spojrzenie jej oczu, namiętne czuły ton jej głosu

- wszystko to wypełniłoby go uczuciem szczęścia, gdyby nie świadomość, że wszystko jest wyrazem tylko i wyłącznie jej dziecięcej sympatii.

- Tak długo, jak ty jesteś szczęśliwa i zadowolona, również i ja nigdy nie będę smutny - powiedział z powagą.

Roześmiała się głośno.

- A więc nie ma powodu do zmartwień, wujku! Przecież sam zawsze starasz się o to, żebym mogła być szczęśliwa.

- Tak długo jak tylko będzie mi wolno, na pewno.

Spojrzała ze zdziwieniem.

- Wolno? Któż mógłby ci tego zabronić?

- Być może ty sama.

Pokręciła głową.

- Co za dziwne rzeczy mówisz dzisiaj! Ja sama? Sam w to nie wierzysz.

- Albo inny mężczyzna.

- Inny mężczyzna? Jaki znów inny mężczyzna? Nikt nie jest tak blisko mnie, nikt nie ma do mnie prawa.

- Jeżeli jednak pewnego dnia sama dasz temu innemu prawo do siebie - upierał się, sam sobie zadając ból.

Oparła głowę o rękę i zamyśliła się.

- Komu miałabym dać takie prawo?

Utkwił w niej wzrok.

- No, na przykład twojemu mężowi.

Pokój wypełnił jej jasny śmiech.

- Mojemu mężowi? Przecież ja nie mam męża!

- Ale nadejdzie taki dzień, kiedy będziesz miała.

Spowaźniała, a na twarzy pojawił się nagle lekki rumieniec. Wyjrzała przez okno. Potem zwróciła się ponownie ku niemu, z ukrywanym niepokojem w spojrzeniu.

- Nie, to na pewno się nigdy nie stanie. Chcę być zawsze z tobą, wujku Klausie. Żaden obcy nie powinien stanąć między nami - powiedziała cicho, ale z przekonaniem.

Dłoń mu drżała. Poza tym nic nie zdradzało jego zdenerwowania.

- Zobaczmy jeszcze - powiedział z wątpieniem w głosie.

Poderwała się i gwałtownie odrzuciła głowę. W jej oczach iskrzył się gniew.

- Teraz to mnie naprawdę rozgniewałeś. Jak mogłeś w ogóle wpaść na taki głupi pomysł? Ja i małżeństwo, z obcym mężczyzną, którego nie znam, który nie należy do naszego Leśnego Dworu! To byłoby tak samo niemożliwe, jak twoje małżeństwo z jakąś obcą kobietą.

Spojrzał na nią zaintrygowany.

- Uważasz, że to jest zupełnie niemożliwe? Odchyliła się i zbladła. Niepewnie spojrzała mu w oczy. Pod jego badawczym wzrokiem twarz dziewczyny pokryła się ciemną czerwiecią. Usiłowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby wuj Klaus się ożenił, do Leśnego Dworu przyprowadził obcą kobietę. Nigdy o tym nie pomyślała. Przestraszona wyobrażała sobie tę możliwość i czuła się, jak gdyby jej serce zostało przywalone ogromnym głazem. W panice broniła się przed paralizującym strachem.

- Ach ty - ty przecież jesteś dużo za stary, żeby się ożenić - zawołała gwałtownie.

Uśmiechnął się smętnie.

- Tak myślisz?

Poderwała się nagle i podeszła do okna. Z trudem walczyła z napływającymi łzami, nie wiedząc właściwie, dlaczego jej było tak przeraźliwie smutno.

Klaus patrzył w jej stronę z wewnętrznym niepokojem.

Nie wiedział, co ją tak poruszyło, ale widział, że była wzburzona. Powoli podniósł się i stanął obok niej.

- Co ci jest, Anno-Doro?

Gwałtownie odwróciła się do niego i przestała panować nad łzami.

- Nie chcę mieć macochy, musisz to wiedzieć! Twoja żona byłaby dla mnie macochą. Nie chcę, żebyś się ożenił! - krzyknęła zupełnie nad sobą nie panując.

Chwycił jej dłonie.

- Uspokój się, Anno-Doro, obiecuję ci, że się nie ożenię! W ogóle o tym nie myślę.

Jakby promień słońca przemknął przez jej twarz. Pośpiesznie otarła łzy.

- Jakie to głupie, płakać! Przecież to w ogóle niemożliwe. Nas dwoje - przecież zupełnie sobie wystarczamy, nie potrzebujemy w Leśnym Dworze nikogo więcej. Prawda?

- Ja na pewno nie, Anno Doro - powiedział poważnie i ciepło.

- A co dopiero ja - zapewniła z naciskiem.

Tak bardzo chciałby w to wierzyć. Wiedział jednak, że Anna-Dora w swoim dziecięcym niedoświadczeniu jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa o swoim losie.

Usiłował odwrócić jej uwagę.

- Ale teraz musisz znów być wesoła, Anno-Doro, w przeciwnym razie będę sobie robił wyrzuty, że zasmuciłem cię w dniu twoich urodzin. Chodź, bądź znowu moim radosnym, małym towarzyszem.

Szybko dała się pocieszyć i z powrotem usiadła do stołu. Żartował i śmiał się razem z nią, aby skierować jej myśli w inną stronę, wkrótce tak się stało.

Nowy powóz i pierwsza wyprawa do pastorstwa zajęły całą jej uwagę. Znów była dawną Anną-Dorą. Mimo to jednak nie opuściło jej wrażenie, że przeżyła coś bardzo ważnego. Tyle tylko, że nie miała czasu, dłużej zająć się tym odczuciem. Kilka razy w zamyśleniu musnęła wzrokiem oblicze wujka.

Kiedy wieczorem poszła do łóżka, wbrew swoim zwyczajom długo nie zasypiała. Rozmyślała o tym, dlaczego wujek Klaus nie ożenił się. Myśl o tym, że mógłby to zrobić jeszcze teraz, odsuwała od siebie jak najdalej, chociaż gdy mu się przyjrzała, musiała przyznać, że jeszcze nie wydawał się „za stary”. Dziwnie dręczyła ją myśl, że mógłby być z inną kobietą. Gorąca krew uderzyła jej do głowy, gdy wyobraziła sobie, że mógłby pokochać

inną. Jak to musiało w ogóle być, kiedy kochało się drugiego człowieka tak, by wziąć z nim ślub? Człowieka, którego się wcześniej w ogóle nie znało, który dotychczas miał swoje własne życie? To musiało być bardzo dziwne!

Myślała o wszystkich mężczyznach, których poznała w Berlinie i usiłowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby nagle miała żyć w bliskiej wspólnocie z jednym z nich. Nie, to było zupełnie nie do pomyślenia, niemożliwe! Nie chciała widzieć w swoim życiu nikogo poza wujkiem Klausem, a już z całą pewnością nie mogłaby kogoś innego pokochać bardziej niż jego. Dzisiaj serce zabolowało ją z miłości ku niemu. Jeszcze nigdy nie odczuła tak mocno tego, jak bardzo go kochała.

Czy była kiedyś kobieta, którą wuj Klaus kochał tak bardzo, że mógłby się z nią ożenić? Ale nie, odpowiedziała sama sobie, przecież ożeniłby się z nią. To wydawało się jej oczywiste.

Cóż mogła wiedzieć o konfliktach międzyludzkich.

Leżąc w półśnie snuła marzenia. Nagle poderwała się ze strachu. Usłyszała schody skrzypiące pod cichymi krokami. Kto jeszcze nie spał o tej porze? Nasłuchiwała. Na dole ktoś otworzył drzwi i znów je zamknął. Zwinnie zsunęła się z łóżka i wyjrzała przez firankę. Nad wrzosowiskiem kładł się jasny blask światła księżycowego, tak że zdawało się, że drzewa mają srebrne liście. Ale na dole przed domem chodził tam i z powrotem wujek Klaus. Miał na sobie lekką rozpiętą marynarkę, wcześniej zdjął kołnierzyk i krawat. Wyraźnie widziała odkrytą szyję i koszulę częściowo rozpiętą na piersi. Na pewno było mu w domu za gorąco, chciał więc zaczerpnąć świeżego powietrza. Uspokoiwszy się, mogłaby już wrócić do łóżka, ale jakby pozbawiona własnej woli stała nadal przy oknie i patrzyła na dół. I wtedy on się odwrócił tak, że mogła zobaczyć jego twarz. Wyglądał blado i smutno. To wina jasnego blasku księżyca, pocieszyła się. Ale dręczące, przygnębiające uczucie, które dzisiaj się w niej obudziło, powróciło z podwójną siłą.

Poczuła dreszcz, chociaż było jej ciepło, i położyła się z powrotem do łóżka. I kiedy tak leżała z szeroko otwartymi oczami, dziwna myśl przyszła jej do głowy.

„Czy mogłabym kochać wujka Klausem tak, żebym zechciała wyjść za niego za mąż? A może trzeba do tego zupełnie innej miłości?”

I kiedy tak pomyślała, twarz ogarnął gorący, trwożliwy żar. Ukryła ją w poduszce, ale serce biło tak mocno, że zdawało jej się, że je słyszy. Po chwili odwróciła się na drugą stronę.

„Nie - tak, jak jest teraz, jest dużo piękniej. Nigdy nie będzie inaczej. A teraz chcę spać!” pomyślała, samą siebie nawołując do spokoju.

Ale zasnęła dopiero wtedy, kiedy Klaus Hendrichsen poszedł z powrotem do swojego

pokoju. Później zaś śniły jej się najróżniejsze dziwne, zagmatwane rzeczy, przy czym serce bolało ją tak samo jak w dzień.

Następnego dnia spała dłużej niż zwykle. I kiedy po nieco pośpiesznej toalecie zeszła do ogrodu, gdzie Klaus, zajęty poranną gazetą, już siedział przy śniadaniu, była nieco bledsza niż zwykle.

Klaus był jak zwykle skory do podroczenia się z nią.

- Dzisiaj nadrobiłaś to, co wczoraj straciłaś. Czekam na ciebie już pół godziny.

Starła się usprawiedliwić.

- Przepraszam, naprawdę zasnęłam!

O tym, że późno zasnęła i że widziała go przed domem, w blasku księżyca, nie wspomniała. Po raz pierwszy miała przed nim swoją małą tajemnicę. Dotychczas opowiadała mu o wszystkim, nawet najskrytszych myślach.

Poza tym nie widać było jakiegokolwiek zmiany. Klaus nie poznał po niej, że jej myśli zajęły poważne problemy. Sama zresztą zapomniała, co ją niepokoiło, i tak długo, jak Leśny Dwór tętnił życiem, była zajęta tak różnymi sprawami, że w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Kiedy jednak zaczynało się zmierzchać, kiedy wrzosowisko leżało w cieniu, a niebo rozbłyskiwało płonącymi kolorami, kiedy w lesie coś tajemniczo szeptało i szemrało, zbliżały się skradając dziwne marzenia i budziły nieopanowany niepokój w jej sercu. W oczach pojawiało się pełne obaw pytanie do losu. W takich godzinach tęsknota za cudownością rozpościerała skrzydła i unosiła duszę dziewczyny w bajeczne przestrzenie. Tajemnica życia zaczęła wabić słodkimi, niezrozumiałymi dźwiękami.

Kiedy zdarzało się, że w takich chwilach ktoś wzywał Annę-Dorę, jej twarz pokrywał rumieniec, a jeżeli rozmawiała z Klausem, mimowolnie uciekała wzrokiem w bok.

Kiedy pewnego dnia stała przed obrazami, namalowanymi przez ojca, oparła o nie policzek i zamyśliła się nad ukochanym zmarłym. Nagle gdzieś we wnętrzu obudziła się myśl.

- Tatusia kochałam inaczej, niż wujka Klause - zupełnie inaczej!

Na pewno cicha zmiana w Annie-Dorze nie umknęłaby bystrym, troskliwym oczom Klause, gdyby nie nastąpiło zdarzenie, które gwałtownie zmieniło spokojne życie w Leśnym Dworze.

* * *

Było to kilka dni po urodzinach Anny-Dory. Już od wczesnego rana czuło się ogromny upał. Nad lasem i wrzosowiskiem zaległo ciężkie duszące powietrze.

Anna-Dora wybrała się na poranny spacer. Miała nadzieję, że w lesie znajdzie chłód i świeżość.

Klaus Hendrichsen siedział w altanie nad nową rozprawą i widział, jak bratanica znika między drzewami.

Dziewczyna szła powoli znajomymi ścieżkami. Nucąc zatrzymywała się od czasu do czasu, by przyrzeć się sarnie albo wiewiórcze, która przemykała, przecinając jej drogę.

Ale nawet w lesie nie znalazła oczekiwanej świeżości. Chcąc przynajmniej uwolnić czoło, zdjęła szeroki, lekki kapelusz przeciwsłoneczny i zawiesiła go na ramieniu. W końcu nie miała siły iść dalej i przedarła się przez zarośla, aby w nich znaleźć zacienione miejsce spoczynku.

Przeszła kilka kroków i właśnie dotarła do skraju małej polanki leśnej, gdy nagle zatrzymała się, nasłuchując. Do jej uszu dotarło wołanie. Rozejrzała się ostrożnie - tak rzadko zdarzało się tutaj spotkać jakiegokolwiek człowieka. Nasłuchując wstrzymała oddech. Wtedy dotarł do niej bardzo wyraźnie głos młodego mężczyzny.

- Hallo, leśna rusałko, albo łaskawa panienko - tutaj jest człowiek w potrzebie!

Przestraszyła się. W pierwszym przerażeniu chciała uciec. Ale potem zawstydzila się swojej bojaźliwej reakcji. Człowiek w potrzebie - to oczywiste, że musi mu pomóc. Spojrzała uważnie w kierunku, z którego docierał głos. I wtedy spostrzegła, że z zarośli na przeciwnym skraju polany, wymachuje w powietrzu para ramion. Był to widok tak komiczny, że nie mogła się nie roześmiać. Cóż za nieszczęśnik gramolił się tak niezręcznie? Szybko przebiegła na drugą stronę i spojrzała z bezpiecznej odległości, przez gałęzie krzaków, prosto w parę dużych, szarych męskich oczu. Ich właściciel siedział na miękkim poszyciu leśnym i odetchnął jak wybawiony.

- Dzięki niech będą niebu i wszystkim świętym kalendarzowym! Najłaskawsza pani, przychodzi pani akurat we właściwym momencie, by uchronić biednego człowieka przed śmiercią głodową. Od wczorajszego wieczora nic nie jadłem.

Anna-Dora dokładniej przyjrzała się nieomal zagłodzonemu. Trudno powiedzieć, żeby jego wygląd budził litość. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, w wieku około dwudziestu ośmiu lat. Ubrany był w dobrze skrojone ubranie o sportowym charakterze. Na brązowych, falowanych włosach siedział, odsunięty z czoła daleko na tył głowy, miękki kapelusz filcowy, który mężczyzna zdjął w geście powitania, gdy zagadnął Annę-Dorę. W jego oczach było tyle niepokoju, że musiała znowu wybuchnąć śmiechem.

- Niestety nie mam przy sobie nic, co by się dało zjeść, mój panie. Ale zapraszam do Leśnego Dworu, tam z pewnością zostaniemy obsłużeni.

Oczy młodego człowieka rozbłysły.

- Leśny Dwór - czy to jeszcze daleko stąd?

- Niecałe pół godziny drogi.

- A pani jest mieszkanką Leśnego Dworu?

Skinęła głową.

- Pardon, łaskawa panienko, proszę najpierw pozwolić, że się przedstawię: Ernst Reimers, malarz, zagubiony, nieomal zagłodzony i ranny.

- Jest pan ranny? - zapytała przestraszona.

- Niestety. Inaczej nie siedziałbym tutaj jak przygwożdżony. Wczoraj wieczorem chciałem dojść do Leśnego Dworu, ale zgubiłem drogę i potknąłem się w ciemności o ten nieprzyzwoity korzeń. Przy tym tak mocno zraniłem prawą stopę, że cała spuchła i nie daje mi stanąć. Tak więc noc wykorzystałem na to, by w utrudnionych warunkach zdjąć but i pończochę i obłożyć stopę chłodzącymi liśćmi. Niestety z bardzo mizernym skutkiem. Opuchlizna się zwiększyła, tak samo zresztą jak ból. Poza tym mój żołądek protestuje gwałtownie, jest bowiem przyzwyczajony do nieco serdeczniejszego traktowania.

Wszystko brzmiało tak zabawnie, że mimo powagi sytuacji Anna-Dora znów serdecznie się roześmiała. Jednocześnie jednak odezwało się współczucie. Szybko znalazła się obok niego, kapelusz rzuciła na trawę i uklękła przy młodym mężczyźnie.

- Proszę mi pokazać stopę - powiedziała zdecydowanie, bez krygowania się.

Posłusznie odsunął kupkę listowia. Przez chwilę przyglądała się mocno spuchniętej, bardzo zaczerwienionej stopie, po czym podniosła się z ziemi.

- Proszę mi podać pański kapelusz - rozkazała Anna-Dora. Ernst Reimers patrzył na nią po części rozbawiony, po części z wyraźną ulgą.

- Co pani zamierza?

- Przynieść wodę.

- Moim ślicznym nowym kapeluszem?

- Podał go jej, spoglądając nań z czułością.

- W każdym razie natychmiast trzeba zrobić zimny kompres. Lepiej, jak się zmarnuje kapelusz, niż stopa.

- Dobrze, poświęćmy kapelusz.

- I jeszcze chusteczkę do nosa.

- Jeszcze to?

Podał jej, uśmiechając się, a ona poderwała się do biegu.

- Najmilsza samarytanko, nie zostawi mnie pani tutaj samego?

- Za trzy minuty jestem z powrotem!

Patrzył za nią. Teraz, kiedy został sam, twarz sama wykrzywiła się z bólu, a z ust wyrwało się kilka mocnych „a niech to diabli”.

Ale kiedy pojawiła się Anna-Dora, która ostrożnie niosła wodę z leśnego strumienia, twarz natychmiast znowu się rozjaśniła.

Lekkiymi, zgrabnymi dłońmi dziewczyna położyła na stopie kompres.

- Ach, prawdziwe dobrodziejstwo. Bardzo pani dziękuję.

Teraz Anna-Dora wyjęła własną chusteczkę i włożyła ją do kapelusza.

- Tak - powiedziała, - teraz proszę zmieniać chusteczki, aż do mojego powrotu. Pobiegnę, najszybciej jak tylko mogę, do Leśnego Dworu i sprowadzę pomoc oraz porządną, dużą kromkę chleba.

- Ach, już teraz czuję jej rozkoszny smak. Pani jest aniołem, najłaskawsza. Ale zanim pani odejdzie, proszę mi powiedzieć: czy naprawdę jest pani mieszkanką Leśnego Dworu?

Skinęła z szelmowskim uśmiechem i lekko się skłoniła.

- Anna-Dora Hendrichsen, pani na Leśnym Dworze.

Oczy Ernsta Reimera rozbłysły radośnie.

- A więc spokrewniona z malarzem Albertem Hendrichsenem?

- Jego córka - powiedziała z dumą.

Chwycił jej dłoń i ucałował ją.

- Ach więc znowu miałem niesamowite szczęście! Łaskawa pani, jestem szczerym wielbicielem pani niestety zmarłego ojca. Jego obrazy zachwyciły mnie, rozpały, oczarowały. Tak jak on chciałbym umieć malować, wsłuchiwać się w te wszystkie cudowne nastroje, a potem oddawać je na płótnie. Dlatego przyjechałem tutaj. Chcę na jakiś czas osiąść we wsi położonej jak najbliżej Leśnego Dworu, i studiować piękno krajobrazów, które Albert Hendrichsen uwiecznił na swoich płótnach. To był cel mojej wycieczki. Wczoraj wieczorem przyjechałem na stację Grummenen i tam powiedziano mi, że najbliżej Leśnego Dworu leży wieś Waldburg. Wybrałem się około wieczora, ale dotarłem tylko do tego przekłętogo korzenia. Nie, nie przekłętogo, przecież stał się pośrednikiem w nawiązaniu znajomości z panią. Może zechce pani pomóc dalej biednemu malarzowi, dając mu kilka wskazówek gdzie są najpiękniejsze okolice, które malował pani ojciec.

Anna-Dora słuchała z błyszczącymi oczami.

- Chętnie panu pomogę. A nikt nie umiałby oprowadzić pana lepiej ode mnie. Znam

każde drzewo i każdy krzew w tej okolicy i byłam nieodłączną towarzyszką ojca.

- Nie znajduję słów, które wyrażą, jak bardzo jestem szczęśliwy, słysząc pani słowa. Dziękuję pani z całego serca - powiedział, tym razem poważnym, serdecznym tonem.

Anna-Dora zaczerwieniła się lekko.

- Nie ma za co dziękować, cieszę się, że tak dobrze i serdecznie mówi pan o moim ojcu. Poproszę też wujka Klause, żeby przyjął pana w Leśnym Dworze. Miejsca mamy dosyć, a ze wsi jest jak by nie było cała godzina drogi.

Odetchnął głęboko.

- Szkoda, że nie mogę teraz robić fikołków. Jeżeli szanowny wuj pani udzieli mi w Leśnym Dworze azylu, to - sam już nie będę wiedział, co robić z zachwytu.

- Mimo pańskiej biednej, obolałej stopy? - spytała z uśmiechem.

Energicznie skinął głową.

- Mimo to! To przecież tylko stopa, nie ręka. Stopa nie może mi przeszkodzić w malowaniu.

Anna-Dora włożyła kapelusz.

- Ale teraz muszę się pospieszyć i sprowadzić pomoc. Będę z powrotem tak szybko, jak to tylko możliwe.

Pobiegła.

- Proszę nie zapomnieć o kromeczce chleba - zawołał za nią.

- Przyniosę na pewno! - dotarła roześmiana odpowiedź.

Anna-Dora szła przez las szybkim krokiem. Torowała sobie drogę przez chaszczę, żeby szybciej dotrzeć do Leśnego Dworu. Dotarwszy do domu, z prędkością wiatru pognąła do altany, gdzie Klaus wciąż jeszcze siedział nad książkami. Z rozpalonymi policzkami opowiedziała o wszystkim i błagała, by natychmiast szedł razem z nią.

- Pojedziemy powozem główną drogą aż do polany. Później pomożemy biedakowi wsiąść i przywieziemy go tutaj. Oczywiście będzie mógł zostać w Leśnym Dworze, prawda, wujku? Pomyśl tylko - zna obrazy tatusia i chce malować wrzosowiska. Przecież w Leśnym Dworze będzie mu najlepiej. A jest taki wesoły. Mimo głodu i bólu mówił tak zabawnie. Chodź szybko, wujku, każ zaprzęgać - ja jeszcze wezmę coś do jedzenia od pani Sonnenmann!

Chciała gnać dalej. Przytrzymał ją.

- Zaczekaj jeszcze chwilę, Anno-Doro! Zanim weźmie się do domu obcego człowieka, powinno się przecież wiedzieć o nim coś bliższego.

- Ale, wujku, on jest w potrzebie! Musimy też zaraz posłać po lekarza. A poza tym, to

jest bardzo miły i sympatyczny człowiek, ma dobre, szczerze oczy, a to co powiedział o tatusiu wystarczy, bym za niego gwarantowała - powiedziała zapalczywie.

Zazdrość boleśnie ukuła w serce. Czyżby przypadek sprowadzał do Leśnego Dworu człowieka, który mógłby stać się zagrożeniem dla serca Anny-Dory? Jeszcze o żadnym młodym mężczyźnie nie mówiła z takim entuzjazmem. Ale mniejsza o to, ten Ernst Reimers miał kłopoty, jak najszybciej trzeba mu było udzielić pomocy.

Razem z Anną-Dorą poszedł w kierunku domu.

- Masz rację, dziecko, musimy mu pomóc. Jeszcze nigdy w Leśnym Dworze nie odmówiono pomocy człowiekowi w potrzebie.

Uścisnęła jego dłoń i z uśmiechem szczęścia spojrzała na niego.

- Wiedziałam, że jesteś za dobry, żeby go odesłać.

Klaus kazał natychmiast zaprzęgać i posłał parobka po lekarza, który mieszkał we wsi w milutkim domu i miał pacjentów w całej okolicy. Zwykle używał motoru, bo dzięki temu dosyć szybko pokonywał spore odległości. Gdyby parobek zastał go w domu, mógłby dotrzeć do Leśnego Dworu krótko po nich. Kiedy Anna-Dora z pośpiechem wyszła z domu, w rękę trzymając koszyczek z prowiantem, Klaus był już gotowy.

- Czy pomyślałaś też o butelce wina? - zapytał.

Skinęła głową i żwawo wskoczyła do powozu.

- Przecież znasz panią Sonnenmann, ona nie zapomni o niczym. Zaraz też zabierze się do przygotowania małego pokoju narożnego obok mieszkania zarządcy. Biedny człowiek nie będzie zmuszony do wchodzenia po schodach, a po obu stronach będzie miał piękny widok na las i wrzosowisko. To ja tak postanowiłam.

Twarz Klause nie zdradziła nic z dręczącego niepokoju.

- Jak przewidująco i troskliwie wszystko zorganizowałaś! - powiedział nieco zachrypniętym głosem.

Skinęła głową z dumą i pociągnęła za cugle. Lekki pojazd ruszył.

- Prawda? Wiesz, z początku, kiedy tak nagle usłyszałam jego wołanie, strasznie się przestraszyłam i chciałam po prostu uciec. Ale teraz cieszę się, że tego nie zrobiłam. Pomyśl tylko, biedny człowiek siedział całą noc w lesie. Mam nadzieję, że lekarz nastawi mu tę stopę, wyglądało to bardzo niedobrze.

- Na pewno będzie dobrze.

Opowiedziała mu jeszcze raz, jaki zadowolony i wesoły był młody malarz.

- Zobaczysz, wujku Klausie, spodoba ci się od pierwszego spojrzenia. Ze mną było tak samo. Cieszę się, że zostanie w Leśnym Dworze, jest taki wesoły. Zobaczysz, że się z nim

szybko zaprzyjaźnimy.

Ze smutkiem pomyślał o tym, że jeszcze kilka dni temu powiedziała do niego: „My dwoje - my wystarczymy sobie i nie potrzebujemy nikogo więcej w Leśnym Dworze”. Teraz cieszyła się, że jakiś obcy wprowadzi się do Leśnego Dworu! Wiedział, że jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa o swoim losie. Ciężko mu było na duszy, ciążyło mu przecucie nieszczęścia, które mu groziło.

Wydawało mu się zupełnie pewne, że ten obcy malarz został przysłany przez los po to, by zagrabić mu to, co miał najcenniejszego, co znaczyło dla niego życie - miłość Anny-Dory.

Podczas jazdy omówili jeszcze, że Klaus pojedzie z powrotem z rannym. Anna-Dora chciała wrócić na piechotę. Dla trzech osób powóz byłby za mały. A w domu i tak nic nie mogła pomóc. Pani Sonnenmann na pewno zadba o każdy szczegół, wiedziała przecież od niej o wszystkim.

Kiedy przyjechali do malarza, mężczyźni przez krótką chwilę badawczo mierzyli się wzrokiem. Ernst Reimers był bardzo zadowolony z tego co zobaczył, a i Klaus nie mógł zaprzeczyć, że mężczyzna sprawia korzystne wrażenie. W dużych, szarych oczach malowała się szczerść i otwartość.

- Czy zmieniał pan pracowicie okłady? - zapytała Anna-Dora krytycznie.

- Oczywiście, łaskawa panienko. Czy przyniosła mi pani kawałek chleba?

Z uśmiechem otworzyła koszyczek.

On natomiast spojrzał w górę, w stronę Klause.

- Proszę mi wybaczyć, szanowny wujku Klausie - został mi pan przedstawiony wyłącznie tym tytułem i imieniem, ale muszę najpierw zjeść cokolwiek, z głodu tracę właśnie ostatnie resztki sił.

Klaus uśmiechnął się.

- Proszę sobie nie przeszkadzać. Smacznego!

Reimers wgrzył się w chleb obłożony soczystą szynką.

- Ach, nie ma pan pojęcia, jak to smakuje.

Klaus wyjął mu z koszyka buteleczkę z winem i otworzywszy ją, napełnił kieliszek mówiąc:

- Tutaj coś na wzmocnienie serca - powiedział z humorem.

Reimers nalał sobie i wypił.

- Nieprawdopodobnie wspaniałe! Moi państwo, to najwspanialszy piknik w lesie, jaki kiedykolwiek przeżyłem!

- O gustach się nie dyskutuje - odpowiedział Klaus. Teraz proszę mi pozwolić spojrzeć

na obolałą stopę.

- Z przyjemnością, wpiery jednak niech mi będzie wolno - moje nazwisko brzmi Reimers.

- Hendrichsen.

- Słusznie, doktor Klaus Hendrichsen, brat Alberta Hendrichsena.

- Zgadza się.

Reimers skinął głową z zadowoleniem, po czym wyjął z kieszeni portfel. Z niego wydobył stronę gazetową i rozpostarł ją przed Klausem i Anną-Dorą. Był to artykuł poświęcony pamięci Alberta Hendrichsena z jego portretem, który zamieszczono w gazecie po śmierci malarza.

- Proszę, z tej gazety orientuję się w państwa koneksjach rodzinnych. Piszą tutaj: *Zmarły pozostawił poza jedyną córką, młodszego brata, doktora filozofii Klause Hendrichsena, który poświęcił się studiom w dziedzinie nauk przyrodniczych.* Ponieważ już od kilku lat nie rozstaję się z tą kartką, mam zaszczyt już od lat znać państwa, chociaż na odległość. Interesuje mnie wszystko, co ma związek z malarzem Albertem Hendrichsenem. Jak już powiedziałem pańskiej bratanicy, jest on dla mnie mistrzem i świetlanym przykładem.

Anna-Dora wzruszyła się, widząc, jak pieczołowicie ukrył artykuł prasowy z powrotem w portfelu, a Klaus pomyślał ze smutkiem, że nie ma pewniejszej drogi zdobycia przychylności Anny-Dory, jak sposób, w jaki Reimers mówił o jej ojcu. Jej oczy patrzyły na malarza z taką sympatią. W zachowaniu młodego człowieka nie było nic z wyrachowania lub ukrytych celów. Wszystko w nim było proste, naturalne i serdeczne. Temu Klaus nie mógł zaprzeczyć.

Schylił się, by zbadać zranioną nogę.

- Wygląda na to, że nic nie jest złamane. W każdym razie będzie pan zmuszony przez kilka dni pozostawać w spokoju i godzić się na gościnność Leśnego Dworu. Na razie chodzi o to, żeby doprowadzić pana do powozu. Czy będzie pan w stanie pokonać tę niewielką odległość, jeżeli mocno pana podeprzemy?

- Sytuacja zmusza mnie do tego, bym przebył ją, skacząc na jednej nodze jak baletnica. Mam tylko spore wątpliwości, czy zrobię to z taką samą gracją.

Klaus i Dora roześmiali się.

- Z gracją czy bez, byleby się udało - odpowiedział Klaus - najpierw proszę się porządnie oprzeć na moim ramieniu, pomogę panu się podnieść.

Ponieważ obaj mężczyźni byli silni i sprawni, cała operacja nie sprawiła problemów. Ernst Reimers, kiedy już stanął, oparł się o drzewo i rozejrzał się.

- Właściwie gdzie się podziały plecak i sztalugi?

Anna-Dora odkryła je za jednym z krzewów.

To wpakujemy do powozu później, kiedy szczęśliwie umieścimy tam pana. Ale stop - pański kapelusz - powiedziała z uśmiechem i wylała wodę na poszycie. Powachlowawszy nim kilka razy, podała mu go. Przyjrzał mu się z zabawnym zatroskaniem.

- Co pani zrobiła z moim wspaniałym, nowym kapeluszem! Przecież on już nigdy w życiu nie wyschnie.

- Proszę go tylko założyć, będzie świetnym schłodzeniem dla rozpalonej głowy - zaproponował Klaus. Reimers podobał mu się - wbrew wszystkim złym przeczuciom. Oczarował go jego naturalny, wesoły sposób zachowania.

Wspierając się na Klausie i Annie-Dorze Reimers pokuśtykał do powozu. Kiedy wreszcie mógł usiąść, Klaus zauważył, że Reimers bardzo zbladł. Nalał mu jeszcze jeden kieliszek wina.

- Pewnie bardzo boli? - zapytał ze współczuciem.

Reimers znowu się roześmiał.

- Nie była to najmilsza wyprawa, ale teraz siedzi mi się wspaniale.

Klaus przyniósł rzeczy malarza i położył je w powozie. Później wskoczył sam i wziął cugle do ręki.

- Adieu, Anno-Doro, pójdiesz prosto do domu?

- Tak, wujku.

- Czyżby musiała pani iść na piechotę? - zawołał Reimers z żalem.

- Dojdę krótko po waszym przyjeździe.

- A więc do widzenia i na razie wielkie dzięki!

Skinęła głową i znikła w lesie. Klaus nie obejrzał się za nią ani razu.

Kiedy panowie jechali przez las, Reimers głęboko wciągnął powietrze. Klaus czujnie odwrócił się do niego.

- Czy wstrząsy powozu sprawiają panu ból?

Reimers spojrzał promiennym wzrokiem.

- W ogóle nie mam czasu, żeby o tym pomyśleć. Tyle piękna mam przed oczami. Wspaniały zakątek, każde spojrzenie odkrywa malarskie piękno! Tutaj malowanie to czysta radość. Jeżeli tutaj nie będę mógł stworzyć mistrzowskiego dzieła, to znaczy, że jestem ostatnim partaczem.

Klaus uśmiechał się dobrotliwie.

- Motywów panu nie zabraknie. Szkoda, że stopa będzie na razie przeszkodą.

Reimers rozłożył ramiona.

- Te na szczęście zostały zdrowe i tak samo oczy!

- Z pańskiego pokoju w Leśnym Dworze będzie pan miał bardzo korzystny widok.

Malarz uściskał dłoń Klausa Hendricksa.

- Panie doktorze - gdybym próbował wyrazić panu moją wdzięczność, byłby to żaloszny bełkot. Nie wie pan, jak dużo dobroci mi okazuje, przyjmując mnie do swojego domu.

Klaus spojrział mu w oczy z powagą.

- Oby duch mego zmarłego brata pokierował pańskimi krokami!

- Dziękuję panu za to słowo. Sens mojego życia spełniłby się, gdybym mógł stać się jego duchowym spadkobiercą.

Dalszą drogę przebyli w milczeniu, wymieniając tylko jedną, krótką uwagę.

Kiedy zajechali przed dom, pani Sonnenmann czekała już przed drzwiami wejściowymi. Klaus przedstawił ją Reimersowi.

- Gdyby miał pan jakieś życzenia, proszę się spokojnie zwracać do pani Sonnenmann. Jest dobrym duchem Leśnego Dworu i potrafi wspaniale roztaczać wokół siebie kojącą atmosferę - powiedział, zsiadając i rzucając cugle parobkowi.

Reimers spojrział w dobrotliwie uśmiechniętą twarz pani Sonnenmann.

- Pan dziedzic i panienska dziedziczka znaleźli w lesie uszkodzonego nieszczęśnika. Mam nadzieję, łaskawa pani Sonnenmann, że mój widok wzrusza pani przepojone współczuciem serce. Czy może pani pomóc mi przy zsiadaniu, mogę stać tylko na jednej nodze!

Gospodyni podała mu silne ramię jako wsparcie, podczas gdy Klaus przeszedł na drugą stronę.

- Proszę porządnie się złapać, stoję mocno na ziemi - powiedziała ze śmiechem.

Zaprowadzili Reimera do przygotowanego pokoju. Mimo ostrego bólu nie przestawał żartować, tak że droga przypominała raczej przyjemną wycieczkę.

Lekarz pojawił się w tym samym czasie co Anna-Dora. Parobek spotkał go po drodze. Stwierdził silne skrzywienie stawu stopy. Po bardzo bolesnym zabiegu lekarz nastawił nogę w kostce i usztywnił bandażem. Pani Sonnenmann została pouczona, jak zmieniać okłady, a później wykonywać niezbędny masaż.

Reimersowi było strasznie przykro, że sprawił tyle kłopotu i zamieszania.

- Nigdy w życiu nie będę w stanie się zrewanżować, pani Sonnenmann. Gdybym chociaż był portrecistą, mógłbym w podzięcie sportretować panią i uczynić panią

nieśmiertelną.

Roześmiała się.

- Gdybym była młodą dziewczyną, pewnie by mnie to kusiło. Ale te lata mam już za sobą. Proszę się w ogóle o to nie martwić, jak by mi pan mógł podziękować, wystarczy, że będzie pan spokojnie wytrzymywał, gdy ja będę maltretować pańską biedną stopę, tak, żeby mógł pan jak najszybciej znów chodzić.

Westchnął i spojrzał na nią żałośnie.

- Pewnie chcecie się mnie jak najszybciej pozbyć?

Spojrzała przyjaźnie w szczere, wesołe oczy.

- Uchowaj Boże! Taki wesoły, młody człowiek jak pan, dobrze zrobi naszemu cichemu Leśnemu Dworowi. Ale teraz zostawię pana samego - nie od rzeczy będzie obfity, pożywny obiad.

* * *

Od pojawienia się Ernsta Reimersa w Leśnym Dworze minęło kilka tygodni. Stopa wciąż jeszcze nie była zupełnie zdrowa, ale wsparty na lasce, mógł już dokuśtykać przed drzwi domu i robić szkice z zacienionej ławeczki. Był bardzo pracowity. Chęć tworzenia nie dawała mu spocząć. Anna-Dora dotrzymywała mu zwykle towarzystwa. Czasami również Klaus. Nawet pani Sonnenmann i zarządca spędzali niejedną wolną chwilę w pobliżu gościa Leśnego Dworu. Radosna, młodzieńcza natura, gotowa w każdej chwili do żartów, jego serdeczny, skromny sposób bycia sprawiały, że wszyscy go polubili. Jasny śmiech Anny-Dory zdradzał, jak dobrze się czuła w jego towarzystwie. W jej duszy obudziło się coś w rodzaju radosnej wdzięczności dla młodego malarza. Jego przybycie do Leśnego Dworu ukoilo cichy niepokój, który obudził się w dniu urodzin. Niewinne żarty pomagały jej odnaleźć dawną naturalność i spokój, w jego obecności mogła być wobec wuja Klause serdeczna tak jak kiedyś, zanim opanował ją ten dziwny niepokój. Spędzała więc z młodym malarzem tyle czasu, ile tylko było możliwe, tak jakby jego bliskość dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Nie uszło to uwagi Klause. W sercu staczał bolesne boje. Zachowanie Anny-Dory było wyraźnym dowodem jej sympatii dla Reimersa, jeszcze nigdy nie była tak serdeczna wobec młodego mężczyzny. Wcale zresztą nie próbowała tego ukryć, tak samo jak Reimers, który najbardziej lubił gawędzić z Anną-Dorą. Gdyby Klaus nie był tak nieprzytomnie

opanowany przekonaniem, że Reimers musi stanowić zagrożenie dla uczuć dziewczyny, dostrzegłby bez wątpienia, że młodzi ludzie nie żywią wobec siebie żadnych innych uczuć, oprócz zażyłej przyjaźni.

Reimers lubił rozmawiać z Anną-Dorą o swoich pracach. Dobrze go rozumiała i umiała wydawać trafne oceny. Często zaskakiwała go swoimi wypowiedziami, inspirowała go i nigdy nie psuła nastroju. Kiedyś czuła podobnie jak ojciec, teraz ze zrozumieniem obserwowała pracę młodego malarza. Bardzo szybko zorientowała się, że był prawdziwym artystą i zdawał się mieć powołanie do objęcia duchowego spadku po jej ojcu. Powiedziała mu to pewnego dnia. Na te słowa oczy mu zapłonęły, na twarzy odmalowało się wzruszenie. Nie był zdolny do jakiegokolwiek odpowiedzi. O ile zwykle był wesoły i skory do zabawy - sztukę traktował poważnie, tak jak wszystko, co miało z nią jakiś związek.

Również Klaus zorientował się, że młody artysta jest uzdolniony. Czuł do niego coraz więcej sympatii i w końcu powiedział sobie ze smutną rezygnacją, że Anna-Dora, darując serce Reimersowi, nie mogła dokonać lepszego wyboru. Z dużym wysiłkiem, opanowując własne emocje i zadając kłam samemu sobie, próbował pogodzić się z tym, że mogłaby znaleźć szczęście u boku młodego malarza. Podjął silne postanowienie, że w żaden sposób nie przyczyni się do zmażenia młodego, budzącego się szczęścia. Wobec Anny-Dory był serdeczniejszy niż kiedykolwiek dawniej, a jeżeli od czasu do czasu jej policzki pokrywał silny rumieniec, a w oczach pojawiał się szczególny blask, myślał: „Dostrzega, że wiem o budzącej się miłości i dziękuje mi za to”.

Nie przeczuwał, że malarskie oczy Ernsta Reimera bardzo szybko odkryły jego tajemnicę. Po krótkim czasie młody mężczyzna zorientował się też, że dla Anny-Dory nie było bardziej interesującego i niewyczerpanego tematu od „wujka Klause”. Nie uszło jego uwagi także i to, że oboje ukrywali swoją miłość głęboko, jak największą tajemnicę. Jego wrażliwa dusza mówiła mu, że nikt nie ma prawa dotknąć tej tajemnicy. Nikt bardziej niż on nie byłby w stanie zrozumieć tego nieśmiałego, skrywanego uczucia, które niepostrzeżenie rozwinęło się z wynikającej z więzów pokrewieństwa czułości. Sam przecież nosił w sercu „ból tęsknoty” za drogą mu jasnowłosą dziewczyną, która w domu z niepokojem oczekiwała dnia, kiedy on będzie w stanie wprowadzić panią swojego serca do ich wspólnego domu.

Pewnego dnia Anna-Dora zawiozła, jak już często bywało, młodego malarza na wrzosowisko. Zaprowadziła go na miejsce, z którego najlepiej mógł obserwować zachód słońca. Po drodze prowadzili swobodną, lekką rozmowę. Klaus miał dołączyć do nich później.

Kiedy dotarli na miejsce, dziewczyna pomogła przy rozstawieniu sztalug i spokojnie

usiadła na ziemi koło malarza.

Słońce wciąż jeszcze z całym przepychem królowało na niebie. Powietrze nad wrzosowiskiem drżało i połyskiwało. Pszczoły bzyczały pracowicie, by zebrać dobrodziejstwa natury. Poza tym w całej okolicy panowała uroczysta cisza.

Malarz pilnie zajął się pracą. Anna-Dora leniwie gładziła źdźbła trawy i rozmarzonym wzrokiem patrzyła w dal. Długo nie powiedzieli ani jednego słowa. Reimers - z płonąca twarzą i promiennymi oczami - zupełnie oddał się swojemu dziełu. W końcu odłożył pędzel i spojrzał na Annę-Dorę.

- Kiedy mi się szczęści, kiedy mogę ująć wszystko tak, jak bym chciał, to nie boję się żadnego jury - ten obraz zdobędzie niezłe miejsce na wystawie sztuki.

Anna-Dora spojrzała krytycznie.

- Pan dzisiaj był bardzo pilny i dobrze wykonał swoje zadanie.

- Tak? Jest pani zadowolona?

- Bardzo. Prace przygotowawcze są prawie zakończone. Zrobił pan doskonały szkic. Ale teraz proszę o pół godzinki przerwy. Później zacznie się zachód słońca. Dzisiaj będzie wspaniały. Tam niech pan spojrzysz na te grupy leciutkich chmur i rozciągnięte opary mgły! Powstanie precudowny obraz, gdy promienie słoneczne po tysiackroć się w nich załamią. Tutaj w dole, proszę spojrzeć na krzewy i to sękate drzewo, będzie pan je musiał ująć w jeszcze nieco ciemniejszym, bardziej szarym tonie, z dodaniem lekkiego odcienia fioleto. Tam, między tymi kamieniami spoczywa już tajemniczo noc, a mocna korona drzewa w porównaniu z pysznymi kolorami nieba będzie się wydawała czarną.

Słuchał uważnie.

Pani jest malarką i poetką jednocześnie. Od pani więcej się mogę nauczyć, niż od profesora na akademii.

- Wszystko to zawdzięczam ojcu. On mnie nauczył patrzeć. Oczami potrafię namalować niejednego miły obrazek - gdyby tylko palce nie były takie niezgrabne!

- Z pewnością jest to przeszkoda do pokonania. A pani miałaby dobrze, panno Anno-Doro. Mogłaby pani malować, co się pani podoba, nie martwiąc się tym, czy znajdzie pani uznanie innych. W moim wypadku najważniejsze jest to drugie. Maluje się łatwo, dużo trudniej jest zmusić ludzi, żeby za to zapłacili. W domu stoją już dwa gotowe obrazy, których nikt nie chce kupić. Drobiazgu pozbywam się bez trudu - wystarcza akurat na tyle, by jakoś przeżyć, bo malutka renta, którą dostaje moja mama, wystarcza akurat na tyle, ile ona sama potrzebuje. Moich obu dużych obrazów nikt nie chce kupić. Stoją u handlarza sztuką jak przygwożdżone. W dodatku ja sam muszę mu płacić za to, że je wystawia. A są one - Bóg mi

świadkiem - nie gorsze od tysiąca innych, które znajdują nabywców.

- Również pan osiągnie sukces - wierzę w to.

Westchnął.

- Żeby to tylko nie trwało jeszcze tak strasznie długo.

- Czy tak bardzo się panu śpieszy?

Energicznie skinął głową i spojrzał na nią otwarcie.

- Nie ze względu na mnie. Ja mógłbym czekać, nawet gdybym się przy tym postarzał i posiwał. Samo tworzenie daje mi wystarczająco dużo radości - nawet bez sukcesu.

- Tęskni pan za nim ze względu na matkę, prawda?

- Tak, również dla niej - a poza tym - wyjął portfel a z niego małą fotografię - a poza tym dla tej tutaj.

Anna-Dora wzięła zdjęcie do ręki i spojrzała na miłą, jasną twarz dziewczęcą. Przez chwilę przyglądała się z uśmiechem.

- Ma pan narzeczoną - to pańska narzeczona, czyż nie?

- Jeszcze nie jesteśmy zaręczeni, ale darzymy się ogromną miłością. Nikt nie wie o tym oprócz mojej matki i pani, Anno-Doro. I nikt nie może się o tym dowiedzieć, zanim nie będę mógł otwarcie ubiegać się o jej rękę.

- Nie powiem o tym nikomu - uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

- Jej rodzice są bardzo surowymi ludźmi, urzędnikami, którzy uważają, że malarz jest czymś w rodzaju wagabundy i nicponia. Ale ona wierzy we mnie, moja mała, jasnowłosa Gerda, i to przede wszystkim z jej powodu chciałbym odnieść głośny sukces, abyśmy mogli otwarcie przyznać się do naszej miłości.

- Słodka, szczerą twarzyczką!

Skinął głową promieniejąc dumą.

- Powinna ją pani zobaczyć w rzeczywistości! To zdjęcie nawet nie jest zbyt dobre.

Serce Anny-Dory opanowało dziwne uczucie. Po raz pierwszy usłyszała gorącą mowę miłości. Tak jakby poruszono podobne struny w jej piersi, we wnętrzu coś śpiewało i dźwięczało.

Wsluchiwała się w siebie samą i zerwała się przestraszona, gdy Reimers mówił dalej.

- Dlatego tak bardzo jestem wdzięczny pani i pani wujowi za to, że okazaliście mi tyle dobroci. Od kiedy tylko ujrzałem obrazy pani ojca, czułem, jak gdybym odkrył w nich moją najgłębszą naturę. To przecucie mnie nie opuszcza - tutaj musi mi się udać. Krajobraz wdziera mi się w oczy, dłonie zdają się być uduchowione nową siłą - po raz pierwszy ogarnęło mnie zdecydowane przekonanie - tym razem obraz będzie udany.

Anna-Dora była wzruszona.

- Uda się. I ja w to wierzę. A pan powinien tworzyć nie martwiąc się o nic. Leśny Dwór jest dla pana otwarty, jak długo pan będzie chciał tu zostać.

Ucałował ją w rękę.

- Dziękuję za okazaną dobroć, łaskawa panienko - nawet jeżeli wuj pani miałby anulować pani zezwolenie.

- Nie zrobi tego z pewnością. Wuj Klaus jest taki dobry, niewypowiedzianie dobry. Również on pana polubił. Ale nawet gdyby nie zamierzał pana zatrzymać w Leśnym Dworze, wystarczy przecież, że go o to poprosimy. Na pewno by nie odmówił.

- Bo kocha panią nade wszystko - powiedział Ernst poważnym tonem.

Twarz Anny-Dory pokryła ciemna czerwień.

- Proszę mi opowiedzieć o narzeczonej - poprosiła pośpiesznie.

Z uśmiechem spełnił jej życzenie. Jego słowa nabierały ciepła. Silna młodzieńcza tęsknota obudziła się i przenikała każde słowo. Anna-Dora wsłuchiwała się w napięciu, a oczy wypełniła jej własna tęsknota.

Nagle drgnęła i spojrzała spłoszonym wzrokiem.

- Idzie tutaj - powiedziała półgłosem, który zdradzał przerażenie.

Reimers odwrócił głowę i zobaczył Klause wychodzącego z lasu. Znowu się uśmiechnął, jak gdyby udało mu się podejrzeć tajemnicę ukrywaną w nieśmiałej, zamkniętej duszy dziewczęcej. „Idzie tutaj” - już nie „wujek Klaus” - jej dusza zapomniała o wujku, Klaus Hendrichsen był w tym momencie tylko mężczyzną, nikim więcej, nikim mniej.

Reimers ujął pędzel.

- A tam na niebie rozpoczyna się teraz najcudowniejsza gra kolorów - teraz, Anno-Doro, nie mam czasu na rozmowę.

Wstała i powoli wyszła Klausowi naprzeciw. Z trudem opanowywała zdenerwowanie. Na szczęście minęła jeszcze dobra chwila, zanim się spotkali.

- Pan Reimers tworzy pracownie, nie będziemy mu przeszkadzać. Nie zostało mu dużo czasu do zachodu słońca - powiedziała możliwie swobodnym tonem.

Mimo to zauważył płochliwy płomień w oczach i na policzkach. Męka zazdrości podpowiedziała mu naturalnie błędną interpretację.

Szli obok siebie, każde zatopione we własnych myślach.

Anna-Dora myślała o Ernście Reimersie i jego jasnowłosej Grecie. Czy nie można by im jakoś pomóc? Już chciała zadać to pytanie Klausowi, gdy sobie przypomniała, że przecież obiecała malarzowi milczenie. Zastanawiała się więc dalej, by w końcu zapytać

dypłomatycznie: Czy ja właściwie jestem bogata, wujku?

Zaskoczony spojrział badawczym wzrokiem.

- Zależy, co się przez to rozumie, moje dziecko.

- Chodzi mi o to, czy jestem na tyle bogata, żeby móc sobie kupić duży obraz?

- Duży obraz? - zapytał zdziwiony.

- Wiesz, wujku, mama pana Reimersa żyje w bardzo skromnych warunkach. On zaś nie może sprzedać dwóch obrazów, które już skończył malować. Dopiero co mi o tym opowiedział. Pomyślałam sobie więc, że można by mu pomóc i uszczęśliwić jego mamę, gdyby się kupił jeden z jego obrazów. Naturalnie nie mógłby powziąć podejrzenia, że to my jesteśmy kupcami. Podniosłoby to jego wiarę w siebie, gdyby się dowiedział, że jego obraz kupił obcy człowiek. Moglibyśmy zrobić w ten sposób naprawdę dobry uczynek. Znam nazwisko handlarza dzieł sztuki, u którego wystawione są te obrazy. Musielibyśmy to zrobić zupełnie naturalnie, bo również handlarz nie może wiedzieć, że to przyjacielska przysługa. To będzie od razu trochę reklamy dla Reimersa. Myślisz, że dałoby się to jakoś zorganizować? Tak bardzo bym chciała.

Słuchał zachowując zewnętrzny spokój. Teraz nie było już żadnej wątpliwości, tylko miłość do Reimersa mogła podpowiedzieć jej taki pomysł. Z bolesną rezygnacją zgodził się na realizację pomysłu.

Pragnął wyłącznie jej szczęścia, chociażby kosztem własnego. Już jakiś czas temu postarał się o zdobycie informacji na temat Ernsta Reimersa. Wyniki wywiadu były zadowalające: nie było nic do zarzucenia, oprócz tego, że był biedny. To zaś dla Klause nie było żadną wadą. Jeżeli jego bratanica kochała Reimersa i związek z nim byłby dla niej szczęściem, nie miał prawa sprzeciwić się jej woli. Jego uczucia nie mogły mieć tutaj żadnego znaczenia.

- To się da zrobić, Anno-Doro. Sądzę, że na razie obrazy Reimersa nie otrzymały nieprzystępnej ceny. Nie chodzi przecież o zdobycie Rembrandta czy Rubensa. W tym wypadku stać ciebie na to, by się trochę zabawić w mecenasa sztuki.

Starym zwyczajem uwiesiła się u jego ramienia, przepelniona radosnym zapałem.

- O, jak to dobrze - jak dobrze! Pomyślisz, w jaki sposób moglibyśmy to zrobić?

- Chętnie, Anno-Doro.

Jej oczy błyszczały. Jak on się ucieszy - i ona - jego mama! Na pewno bardzo się o niego martwi. Ach, wujku Klausie, po raz pierwszy tak naprawdę się cieszę z tego, że jestem bogata!

Uśmiechnął się dobrotliwie.

- A jest się z czego cieszyć, Anno-Doro. Nawet jeżeli pieniądze nie spełnią wszystkich życzeń, to jednak można za nie mieć dużo dobra i piękna.

- Czy skontaktujesz się wkrótce ze sprzedawcą obrazów, wujku?

- Chociażby jutro.

- Ale ostrożnie, tak żeby niczego nie zauważył.

- Nie obawiaj się, ręczę za to.

Powoli zbliżyli się do Reimersa. Podniósł wzrok tylko na krótką chwilę.

- Witam, panie doktorze! Muszę przeprosić, ale robota pali mi się w rękach. Proszę tylko popatrzeć na niebo! To cudo, objawienie płonącego piękna. Chciałoby się w tym zatopić.

- Proszę sobie nie przeszkadzać.

Z całą pewnością Reimers nie dałby sobie przeszkodzić. Gdyby piorun uderzył tuż obok niego, nie oderwałoby go to od pracy. Przytrzymała go tysiadcem więzów. Dopiero kiedy na niebie wypalił się ostatni płomyk, odłożył pędzel i głęboko oddychając rozejrzał się jak oślepiony. Anna-Dora i Klaus przyglądali się w milczeniu.

- To było piękne; taka praca to prawdziwa rozkosz - powiedział, wciąż jeszcze pod wrażeniem spektaklu, który dopiero się rozegrał. Potem poderwał się i rozpostarł ramiona.

- Panie Boże, czuję się, jak bym był odurzony - a przy tym mam straszliwe pragnienie!

Natychmiast powrócił do swoich zwyczajowych żarcików i z zadowoleniem pokuśtykał do powozu, stojącego na skraju lasu pod sosną. Klaus założył koniowi szory. Reimers w tym czasie umieścił obraz i sprzęt malarski w powozie. Na koniec sam usiadł.

Anna-Dora nie miała ochoty siadać. Szła obok Klause, który prowadził konia trzymając cugle. Tak więc Reimers miał powóz do własnej dyspozycji.

- Czuję się teraz jak indyjski wizerunek bóstwa, który z wysokości karku słonia pokazywany jest dziwiącemu się ludowi. Na tym osamotnionym szczycie ogarnia mnie niebotyczny strach. Z radością oddałbym pięćdziesiąt niemieckich fenigów za to tylko, żeby było mi dane maszerować obok państwa!

- Proszę poczekać jeszcze czternaście dni, wtedy będzie to panu dane za darmo i nie będzie pan ponownie zmuszony do nadmiernych wydatków - zareagowała z miejsca Anna-Dora.

Żartując i śmiejąc się dziwnie prezentująca się grupka ludzi kierowała się w stronę Leśnego Dworu.

W mieście, z którego pochodził Reimers, Klaus miał przyjaciela z czasów studiów. Po krótkim namyśle poprosił go o pójście do handlarza, u którego były wystawione obrazy

Reimersa i nabycie jednego z nich. Poinformował go, że w czasie transakcji nie może być wymienione jego nazwisko i poprosił ze szczególnym naciskiem o dyplomatyczne załatwienie sprawy. Anna-Dora z zachowaniem wszelkich reguł ostrożności dowiedziała się, że Reimers chciał sprzedać swój obraz, „Krajobraz jesienny” - za cenę, której handlarz nie chciał zaakceptować. Zaproponował tysiąc pięćset marek, chociaż handlarz z niedowierzaniem wzruszał ramionami. Sprzedać obraz nieznanego malarza za taką sumę nie było łatwo. Ale Reimers postawił na swoim. Wolał w ogóle nie sprzedać obrazu, niż się go pozbyć za bezcen. Klaus zlecił więc przyjacielowi kupno krajobrazu jesiennego i w miarę możliwości zapłacenie za niego wyższej ceny. Można oczekiwać, że handlarz będzie na tyle rozsądny, by zachować wstrzeźliwość. Jeżeli powie mu się, jeszcze zanim poda swoje warunki, że nie ma się zamiaru zapłacić za obraz więcej niż dwa tysiące marek, oczywiste jest, że w interesie młodego malarza i swoim własnym nie zdradzi, że obraz miał kosztować tylko tysiąc pięćset. Klaus nie ukrywał przed przyjacielem, że chciałby jednocześnie zrobić nieco reklamy dla prac Reimersa i poprosił go o delikatne i mądre wykonanie jego planu.

Po krótkim czasie poczta dostarczyła odpowiedź. Pełnomocnik informował Klause w zabawnie sformułowanym liście, że zamierza wprowadzić malarza Reimersa na scenę w tak skuteczny sposób, jak to tylko będzie możliwe. Klaus może się zdać na niego bez obaw i z przekonaniem, że polecenie zostanie wykonane zadowalająco.

Minęło kilka dni. Reimers pracował bez wytchnienia. Potrzeba tworzenia wyganiała go z domu już zupełnie wczesnym rankiem.

Poza tym jednym obrazem, który przeznaczył na wystawę, miał na warsztacie najróżniejsze szkice i studia.

Pewnego dnia Anna-Dora zniosła na dół ostatni, niedokończony obraz ojca. Oglądał go błyszczącymi oczami.

Z tego niedokończonego obrazu Reimers mógł się wiele nauczyć, dokładnie bowiem zdradzał technikę mistrza. Obejrzenie tego obrazu było równie cenne, jak zgoda na towarzyszenie Albertowi Hendrichsenowi przy pracy.

Podziękował Annie-Dorze serdecznie, ona zaś ucieszyła się, że wsparła go w jego dążeniu do celu.

Prawie codziennie wozila go na wrzosowisko. Klaus towarzyszył im czasem, czasem przychodził do nich o zmierzchu. Przeważnie jednak byli sami i wtedy często rozmawiali o jasnowłosej Grecie. Anna-Dora stała się powierniczką Reimersa. Odkrył przed nią całe swoje życie. Opowiedział, jak miał pójść w ślady ojca, by tak jak on zostać urzędnikiem i jak radość malowania kazała mu zapomnieć o wszystkim innym. Był bardzo przeciętnym uczniem,

zawsze zbierał więcej nagan niż pochwał. Ojciec chciał go zmusić do posłuszeństwa obowiązkom, co doprowadziło do gorzkich konfliktów. Wyłącznie wstawiennictwu matki zawdzięcza, że w końcu otrzymał od ojca pozwolenie na wyjazd do Monachium, gdzie mógł się kształcić w wymarzonym kierunku.

Anna-Dora słuchała go ze zrozumieniem. Czasami słuchała z zapartym tchem, kiedy rozpościerał przed nią wizerunek zupełnie innego, nieznanego świata. Cóż ona, mieszkanka cichego Leśnego Dworu, wiedziała o barwnym życiu bohemy artystycznej Monachium! Reimers miał w zanadrzu wiele wesołych historyjek, ale umiał też opowiedzieć o poważnych, wzruszających zdarzeniach. W końcu jednak zawsze znajdował okazję, by powiedzieć coś o Grecie i ten temat zdawał się być niewyczerpanym źródłem, zresztą tak samo jak zainteresowanie nim ze strony Anny-Dory.

Reimers opisał matce, gdzie się znajduje i w jak sposób trafił do Leśnego Dworu.

- Greta dowie się od mamy o wszystkim, co mnie dotyczy. Nie możemy do siebie pisać, ale przecież dlatego nadejdzie dzień naszych zaślubin, nawet jeżeli wszyscy krewni będą temu przeciwni - mówił Annie-Dorze.

Od mamy Ernsta, Klaus i Anna-Dora otrzymali ciepły, serdeczny list z podziękowaniami.

Stopa Reimersa wyzdrowiała na tyle, że mógł już chodzić, chociaż wciąż jeszcze niezbyt daleko. Pani Sonnenmann codziennie masowała ją w kostce, a Reimers twierdził, wydając przy tym przeraźliwe okrzyki, że jej celem jest przepędzenie go z Leśnego Dworu.

Dzielna kobieta nie dała się jednak w żaden sposób otumanić i uparcie trzymała się wskazań lekarza.

Klaus zaproponował Reimersowi, że może pozostać w Leśnym Dworze tak długo, jak tylko będzie chciał i uważał za potrzebne. Nie chciał słyszeć o jakichkolwiek wyrazach wdzięczności.

- Mamy przynajmniej tyle samo korzyści z pańskiego towarzystwa, co pan z naszej gościnności. Mojej bratanicy należy się trochę życia i urozmaicenia, a ja - ja cenię w panu dobrego towarzysza.

Reimers nie mógł wiedzieć, ile heroizmu kryło się za propozycją Klause. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Klaus mógłby być o niego zazdrosny, w przeciwnym razie z pewnością znalazłby drogę i środki, by uwolnić go od skrytego cierpienia.

Pewnego ranka, kiedy Klaus i Anna-Dora siedzieli przy śniadaniu, Klaus pokazał jej z uśmiechem list skierowany do Reimersa. Na kopercie listu znajdował się adres firmy handlarza dzieł sztuki.

Dziewczyna błyszczącym wzrokiem spojrzała na Klause.

- Czy to wiadomość o sprzedaży obrazu?

- Na pewno. Tutaj w każdym razie mam informację od mojego znajomego, że kupił „Krajobraz jesienny” Ernsta Reimera za dwa tysiące marek. Pisze zresztą, że obraz go zachwyił i w związku z tym nieobca jest mu myśl o kupnie w najbliższym czasie drugiego, nieco mniejszego krajobrazu, tym razem we własnym imieniu.

Pisze w liście, że zamierza się ożenić, a ponieważ może sobie pozwolić na luksus dobrych obrazów, pragnie zainteresować nimi swoją narzeczoną. Reimer wystawił drugi obraz na sprzedaż za cenę ośmiuset marek. W ten sposób nasz plan pomógłby mu podwójnie.

Anna-Dora była uszczęśliwiona. Klaus patrzył ze zrezygnowanym uśmiechem na radość malującą się w jej oczach.

„Jakże będzie się cieszyć jego jasnowłosa Greta” myślała z zadowoleniem, dając tej radości żywiołowy wyraz. Gdyby Klaus mógł odczytać tę myśl albo w ogóle cokolwiek wiedzieć o jasnowłosej Grecie, wtedy jego serca nie przygniatałby taki ciężar. A gdyby Anna-Dora mogła wiedzieć, jak ogromne znaczenie miałyby dla wuja Klause niewielka niedyskrecja z jej strony - czy zwlekałaby chociaż przez chwilę z popełnieniem tej drobnej niedyskrecji?

Wkrótce z domu wyszedł Reimer i skierował się ku altanie.

Szedł już prawie bez problemów, stopa posłusznie spełniała swoje zadania.

- Przepraszam bardzo, że kazałem na siebie czekać. Moja przyjaciółka, pani Sonnenmann, włożyła wyjątkowo dużo wysiłku w wykonanie masażu. Ponieważ był to ostatni seans, zastosowała specjalny, dodatkowy nacisk, tak że mi z rozkoszy włosy stanęły dęba.

- Aż tak bolało? - zapytała Anna-Dora ze współczuciem.

Roześmiał się serdecznie.

- Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Zapewniłem panią Sonnenmann, że w przyszłości będzie mi niezmiernie brakowało naszych spotkań przy masażu. Ale ona mi nie wierzy.

- Gdyby wierzyć we wszystko, co pan mówi - powiedziała gospodyni, która właśnie weszła do altany ze świeżą kawą.

Odwrócił się szybko.

- Ach - pani tutaj, najmiłsza samarytanko? A więc w ogóle mi pani nie wierzy?

- Kiedy na pańskiej twarzy pojawia się ten szelmowski rys, ani trochę!

Opadł na krzesło, zupełnie załamany.

- A ja właśnie chciałem panią zapewnić, że jestem strasznie głodny!

- W to wierzę bez zastrzeżeń - powiedziała, śmiejąc się.

Spojrzał na nią wzrokiem zakochanego.

- Jakie wspaniałe wycucie wszystkich wzruszeń mojej duszy, najdroższa pani Sonnenmann!

- No, a ta pańska dusza, czy nie potrzebuje właśnie bułeczek z masłem i jajek na miękko?

Śmiejąc się wyszła z altanki.

Anna-Dora naląka kawy do filiżanek.

- Widzi pan - droczyła się z Reimersem - z panią Sonnenmann pan nie wygra.

- A pani się jeszcze ze mnie śmieje.

- Tylko dla pobudzenia apetytu - zapewniła.

Westchnął.

- Wielkie nieba, jak gdyby było tu potrzebne jakiegokolwiek pobudzanie! Zaczynam mieć zresztą obawy o moją linię. Boję się, że moja własna mama mnie nie pozna, kiedy wrócę do domu z tej błogosławionej krainy pieczonych gołąbków.

- Dla wszelkiej pewności zawiesimy panu na szyi pisemne zaświadczenie.

- Naprawdę, Anno-Doro? Jest pani aniołem! Ale żarty na bok. Jeszcze nigdy w całym życiu nie wiodło mi się tak dobrze jak teraz u państwa. Nie, panie doktorze, proszę nie robić znowu takiej miny. Jestem winien państwu nieskończenie wiele wdzięczności.

- Nie powinien pan o tym mówić - bronił się Klaus.

- Tak, milczę, jak mi nakazano, ponieważ nikt mnie nie chce słuchać. Ale jedno jest pewne - jeżeli już coś ze mnie będzie, dowiodę państwu mojej wdzięczności.

- Dostyc - zdecydował Klaus uśmiechając się. Tutaj jest list dla pana, co pozwoli nam wreszcie przejść do jakiegoś innego tematu.

Anna-Dora spojrzała na Klause serdecznie i ścisnęła go za rękę. Jaki on był dobry, jej wujek Klaus, najlepszy i najukochańszy człowiek na świecie!

Reimers otwierał list bez pośpiechu, nie przeczuwając, jaką radosną wieść mu przynosi. Ale gdy czytał, pod ukradkowymi spojrzeniami dwójki przyjaciół, jego twarz pokryły czerwone rumieńce. Nie wierząc własnym oczom przeczytał jeszcze raz od początku. Później ręka trzymająca list opadła, drugą zaś zaczął nerwowym ruchem trzeć czoło. Przez długą chwilę siedział zupełnie wytrącony z równowagi.

- Czyżby jakieś złe wiadomości? - obłudnie spytała Anna-Dora, wymieniając z Klausem skryte, uśmiechnięte spojrzenie.

- Nie, o nie, ale, najmilszy panie doktorze, niech pan będzie łaskaw przeczytać mi to tutaj głośno i wyraźnie! Mam wrażenie, że majacząc albo śnię.

Klaus wziął list i przeczytał:

Szanowny Panie Reimers!

Dzisiaj przed południem sprzedałem Pański „Krajobraz jesienny” za dwa tysiące marek, a jednocześnie mam nadzieję, że ten sam odbiorca kupi również mniejszy „Krajobraz leśny”. Cieszę się, że mogę panu przekazać tę wiadomość, tym bardziej, że sam traktowałem Pańskie prace z dużym zainteresowaniem. Kiedy tylko będzie Pan miał coś nowego, proszę mi to dostarczyć. Gdzie życzy Pan sobie otrzymać zapłatę za „Krajobraz jesienny”? Kiedy mogę się spodziewać nowych prac?

Z wyrazami szacunku

Richard Tann

Reimers oddychał ciężko. Nagle poderwał się i bez słowa wyszedł do ogrodu.

Na zewnątrz długo stał oparty o drzewo i patrzył przed siebie.

Anna-Dora miała łzy w oczach. Objęła Klause za ramię i położyła głowę na jego ramieniu.

- Jak on się cieszy, wujku! Ze wzruszenia w ogóle nie może mówić.

Klaus gładził ją po policzku.

- Zawdzięcza to tobie, Anno-Doro.

- I tobie. Ja nie umiałabym tego wszystkiego tak mądrze zaaranżować. Uwaga, nie może się zorientować, że chodzi o nas.

Wreszcie Reimers opanował się i wrócił do altany.

- Mili państwo, muszę prosić o wybaczenie mojego dziwnego zachowania. Absolutnie nie jesteście w stanie pojąć, jak teraz się czuję. Najchętniej bym się rozpląkał jak sztubak.

Klaus podał mu rękę.

- Niech pan tak zrobi, jeżeli właśnie w ten sposób pragnie pan wyrazić radość! I moje najserdeczniejsze gratulacje z okazji odniesionego sukcesu.

Anna-Dora również podała mu rękę.

Ucałował ją.

- Wydaje się, że życie zamierza sprawiać mi wyłącznie dobre uczynki. Od kiedy przewróciłem się o błogosławione drzewo, wszystko obraca się na dobre - powiedział Reimers, wciąż jeszcze bardzo przejęty. Później jednak doszła do głosu jego natura razem z kipiącą radością. Nawet nie próbował się opanować.

- Panno Anno-Doro, zdecydowanie jest pani aniołem szczęścia mojego życia! Od

kiedy panią ujrzałem, nadeszły dla mnie dobre godziny! Ale teraz - muszę jak najszybciej napisać do mamy - musi się przecież dowiedzieć - nie powinna czekać ani minuty dłużej. Proszę tylko pomyśleć, dwa tysiące marek! Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tylu pieniędzy na raz, a co dopiero mówić o posiadaniu. A więc - do zobaczenia, jak tylko napiszę do mamy i do handlarza. Człowiek musi się przecież dowiedzieć, co z tą mamoną począć.

Pośpieszył do domu. Klaus i Anna-Dora odprowadzili go wzrokiem. Po chwili usłyszeli głośny krzyk kobiecy i energiczne, rozbawione odgłosy łajania.

Pani Sonnenmann wyszła z domu z zaczerwienioną twarzą, wciąż jeszcze narzekając i pozęgłowała w kierunku altany.

- Cóż takiego się stało, Sonnenmanku? - spytała Anna-Dora.

Starsza pani energicznie potarła usta śnieżnobiałym fartuszkim.

- Taka arogancja, ten malarz! Nie do wiary, na co on sobie pozwala wobec mnie! Nic nie przypuszczając spotykam go w sieni - wtedy obejmuje mnie, woła do mnie: z radości muszę panią troszeczkę podusić, najdroższa pani Sonnenmann i najzwyczajniej w świecie całuje mnie w usta. Taki nicpoń! Kiedy go na to odpowiednio sztorcuje, śmieje się do mnie i pyta mnie, czy chcę zostać jego żoną, jest bowiem niezłą partią, dwa tysiące marek ma właściwie w kieszeni. Wydaje mi się, że coś z nim jest nie w porządku. To dopiero bałamut!

Klaus i Anna-Dora śmiali się.

- Niech pani nie udaje takiej oburzonej, pani Sonnenmann, troszeczkę się w nim pani podkochuje - żartował Klaus.

Starsza pani spojrzała na niego z miłym uśmiechem.

- Cóż, panie doktorze, takiego wesołego młodego stworzenia nie można nie lubić. Dawniej, kiedy jeszcze żył nasz drogi pan, to i pan był często taki swawolny, kiedy pan przyjeżdżał do domu podczas wakacji. To i ja dostałam od pana niejednego całusa, z całym szacunkiem oczywiście. Właśnie dlatego tak lubię tego malarza, bo zawsze przypomina mi pana takiego, jakim pan był wcześniej. Teraz jest pan zawsze taki poważny.

- To sprawa wieku, pani Sonnenmann - powiedział Klaus, ale czoło mu poczerwieniało.

- Mój Boże, pan i wiek! Niecałe trzydzieści pięć lat i to ma być wiek?

Proszę tylko zapytać Annę-Dorę, ona to potwierdzi.

Anna-Dora zaczerwieniła się nagle i poderwała się, żeby pójść do domu. Klaus patrzył za nią rozpalonym wzrokiem i zapomniał, że nie był sam. Dłonie pani Sonnenmann drżały, kiedy zaczęła sprzątać ze stołu. W oczach pojawiło się przerażone zdziwienie, a kiedy później stała w dużej spiżarni, by wydać wszystko, co było potrzebne do obiadu, myliła się co chwilę.

„Dobry Boże - mój pan doktor i nasze dziecko - nasza Anna-Dora - tak - ale dlaczego nie - dlaczego nie? Boże w niebiosach - żeby mi tylko malarz nie wpadł na jakieś głupie pomysły! To by było - czy ja byłam ślepa? Oczywiście - teraz rozumiem, niejedno - teraz wiem, dlaczego zawsze wygląda tak poważnie i smutno, kiedy dziecko wychodzi z malarzem i dlaczego przez pół nocy włóczy się po dworze jak niespokojny duch. Tylko co tutaj można zrobić? Anna-Dora też się zmieniła - teraz i to widzę. A malarz? Ach, z nim nic jej nie łączy, na to jest w jego towarzystwie zbyt zrównoważona i naturalna. Ale teraz była zupełnie czerwona, kiedy wuj mówił o swoim wieku. Hm, hm. Gdybym tylko mogła mieć pewność - mój pan doktor i Anna-Dora - tak - to by była wielka radość na stare lata!”

Takie myśli krążyły po głowie pani Sonnenmann, a ona nie mogła znaleźć spokoju przez wszystkie „jeżeli” i „ale”. Po tym wydarzeniu wzmożyła czujność i coraz to dokonywała swoich małych odkryć. Przecież ani Klaus ani Anna-Dora nie domyślali się, że pani Sonnenmann poczuła w sobie nagle żyłkę detektywa.

Lato zbliżało się do końca, a i obraz Ernsta Reimersa był już prawie gotowy.

Kolega Klausea rzeczywiście kupił „Krajobraz leśny” za osiemset marek, nieoczekiwanie bardzo dobrze zaczęły się sprzedawać różne studia i szkice Reimersa. „Krajobraz jesienny” znajdował się jeszcze u znajomego Klausea Hendrichsena. Zamierzano go przesłać dopiero po wyjeździe Reimersa.

Anna-Dora musiała być świadkiem całej radości, Reimers bowiem nie potrafił kryć jej w swoim wnętrzu. Największą radość sprawiła mu wiadomość, że dzięki sukcesom rodzice Grety nabrali wobec niego znacznie przyjaźniejszego nastawienia i nie widzą już w malarzu nicponia i biedaka.

Niespokojna tęsknota nagliła do powrotu. Zamierzał jechać do domu natychmiast po skończeniu obrazu.

Anna-Dora wyraziła nadzieję zobaczenia go w Leśnym Dworze następnego lata. Zimą zaś zamierza poprosić wuja Klausea, by wraz z nią wybrał się kiedyś do rodzinnego miasta Reimersa. Musi przecież poznać mamę i jasnowłosą Gretę.

Tak więc ostatnie dni jego pobytu szybko minęły, i w końcu, ku cichej uldze pani Sonnenmann, nadszedł dzień pożegnania. Chociaż bardzo lubiła malarza - od kiedy wiedziała, że pana doktora i Annę-Dorę łączyło coś więcej niż pokrewieństwo, marzyła w tajemnicy o tym, by malarz wreszcie wyjechał, a dwoje, tak bliskich jej sercu ludzi mogło znaleźć drogę do siebie.

Wesoły malarz odjechał. Pożegnawszy się serdecznie z mieszkańcami Leśnego Dworu, udał się z Klausem na stację.

Przy pożegnaniu Klaus patrzył z wewnętrznym niepokojem na młodych ludzi. Bał się do ostatniej chwili, że Reimers poprosi Annę-Dorę o rękę. Ale wyglądało na to, że jednak nie doszło między nimi do decydującej rozmowy. Fakt, że Reimers jeszcze się nie oświadczył, Klaus wyjaśnił sobie w ten sposób, że młody malarz chce najpierw odnieść naprawdę duży sukces, zanim będzie się ubiegał o dziedziczkę Leśnego Dworu. A więc cierpienie miało się jeszcze przedłużyć, również dla bratanicy, jak sądził.

Czy bardzo będzie smutna, że Reimers odszedł, nie wypowiedziawszy zbawiennego słowa? Czy była przekonana, że jego uczucie dla niej jest pewne? Jak w ogóle zniesie rozstanie?

Wydawało mu się, że wolałby, żeby Reimers położył kres wszelkim wątpliwościom i poprosił o rękę Anny-Dory.

Dziedziczka Leśnego Dworu stała koło pani Sonnenmann przed drzwiami wejściowymi i machała ręką w ostatnim geście pożegnania. Malarz patrzył za siebie, aż Leśny Dwór zupełnie zniknął za drzewami. Wtedy też Anna-Dora odwróciła się, żeby wejść do domu. Pani Sonnenmann energicznie ocierała oczy rąbkiem fartuszka.

- Pewnie wpadło mi ziarno - narzekła rozzłoszczona.

Anna-Dora objęła ją, uśmiechając się.

- Teraz znowu w Leśnym Dworze zapanuje spokój, droga pani Sonnenmann. Ja też żałuję, że pan Reimers wyjechał. Ale wróci tutaj w następne lato.

- Tak, tak, kiedyś to się przecież musiało stać. W pewnym sensie zresztą to bardzo dobrze, że już go nie będzie.

- W jakim sensie, Sonnenmannku?

Starsza pani obrzuciła Annę-Dorę szybkim spojrzeniem.

- No, dziecko, nic tak naprawdę nie można było zrobić, dopóki był w domu. Nieustannie mu były żarty w głowie, a ja zabieram się od jutra za ogromne generalne porządki. Już się na to cieszę. A panienka musi się trochę bardziej zatroszczyć o pana doktora. W ogóle, dziecinko, to pan doktor wcale mi się ostatnio nie podoba. Taki się z niego zrobił poważny, spokojny pan!

Anna-Dora westchnęła.

- Czy naprawdę aż tak się zmienił?

- A co, to panienka nie pamięta, jak tu przyjeżdżał na wakacje? Zawsze w dobrym nastroju, zawsze z panienką śpiewał i na wyścigi wymyślał szalone zabawy.

Dziewczyna zapatrzyła się przed siebie w zamyśleniu.

- Tak, to pamiętam. Ale wszystko się zmieniło od śmierci tatusia.

- Hm, no tak, wtedy bardzo się zmienił. Ale myślę, że taki wyciszony jak teraz, to jeszcze nigdy nie był. Ale teraz nie chcę za dużo paplać, czeka mnie mnóstwo roboty. Panienska powinna przejść się troszeczkę.

- Może później, teraz mogę zrobić coś pożytecznego. W jednej skrzyni leży wszystko w nieładzie, bo wczoraj wydobyłam jeszcze szkice tatusia, żeby pokazać je Reimersowi. Chciał je jeszcze raz przejrzeć. Mogę teraz zrobić porządek w moich świętościach.

- Zrób tak, dzieciątko! Szybciej minie czas do powrotu pana doktora ze stacji.

Kobiety rozstały się.

Anna-Dora poszła do pokoju mieszkalnego. Między dwiema dużymi szafami stała ciężka skrzynia dębowa z metalowymi okuciami i mocnym zamkiem. Ta sama skrzynia, o której Klaus Hendrichsen pisał w liście do brata. Dawniej strzegła majątku chłopów z Leśnego Dworu, teraz kryły się w niej relikwie Anny-Dory.

Z wysiłkiem podniosła ciężkie wieko. Ostrożnie wyjmowała sztukę za sztuką. Było tam kilka teczek ze szkicami ojca, zachowała każdą karteczkę. Pod spodem leżał surdut, który ojciec miał na sobie podczas ostatniego obchodu, gdy trafił go śmiertelny ołów. Miejsce, przez które wdarła się kula, znaczyła mała, okrągła dziurka. Jeszcze dzisiaj ciało Anny-Dory przebiegł dreszcz, kiedy delikatnie pogładziła ręką to miejsce.

Skrzynia zawierała najróżniejsze wspomnienia, również wspomnienia po zmarłej matce. Z czułością wyjmowała rzecz za rzeczą, aż skrzynia była zupełnie pusta. Później starannie włożyła wszystko z powrotem.

Zajęcie zabrało jej dużo czasu. Przy tej lub innej rzeczy robiła przerwę i wspominała nieżyjących rodziców. Co stałoby się z nią, gdyby nie było wuja Klause? Zastąpił jej matkę i ojca.

Młode serce wypełniła gorąca czułość. Jak ona go kochała! Jemu oddawała uczucia i myśli. Ale nie mogła tego okazać tak jak by chciała. Powstrzymywała ją dziewczęca nieśmiałość, bo jej miłość była teraz inna, gorętsza. Gdyby wiedział, co się w niej działo czy byłby przerażony, czy może nawet zły na nią? O nie - nigdy się nie dowie, umarłaby ze wstydu, chociaż przecież nic na to nie poradzi. Uczucie rosło w niej po cichu i rozkwitło, ale ona chciała zatrzymać je w swoim wnętrzu. Jeżeli tylko zawsze będzie mogła zostać przy nim, to już wszystko będzie dobrze.

Do tego, że jej serce gorąco pragnęło należeć do niego tak, jak kobieta należy do mężczyzny w wszechogarniającej miłości, Anna-Dora nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą. Nie zmieniało to jednak faktu, że w duszy błąkało się niespokojnie to dziwne pragnienie.

Dotarła prawie do końca pracy. W skrzyni musiały się jeszcze tylko znaleźć surduty ojca i jego szkice. Szkice wolała położyć na samej górze, zamierzała przejrzeć je jeszcze raz w najbliższym czasie. A więc najpierw surdut. Składała go ostrożnie. Gładząc ręką górną kieszeń, usłyszała cichy szelest, jak gdyby był w niej ukryty jakiś papier. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła z niej list.

Że też tego dotychczas nie zauważyła! Z zainteresowaniem otworzyła pismo, a na twarzy pojawił się lekki rumieniec. List od wuja Klause skierowany do jej ojca, i to na kilka dni przed jego śmiercią. Tak długo leżał w kieszeni, a ona nie miała o tym pojęcia!

Musiała go przeczytać - na pewno odnajdzie w nim jego młodą, radosną naturę z tamtych czasów. Odda list, kiedy Klaus wróci do domu.

Wpierw włożyła surdut i szkice do skrzyni, zamknęła wieko i usiadła przy oknie, by w spokoju zająć się lekturą. Cieszyła się, że pozna pismo, które wyszło spod pióra wesołego, młodego wujka Klause. Wtedy był zupełnie inny, zdawała sobie z tego sprawę równie dobrze jak pani Sonnemann. Zanim zagłębiła się w czytaniu, rozsiadła się wygodnie przy oknie.

Najmilszy Bracie, Gospodarzu Leśnego Dworu, Malarzu, Marzycielu i Wspaniały Chłopie!

Tak brzmiał wstęp. Śmiała się cichutko. Ile życia i radości było w tych słowach!

Czytała dalej. Ale w miarę czytania twarz dziewczyny zbladła i posmutniała. Ogromnymi, płonącymi oczyma patrzyła na stanowcze, charakterystyczne pociągnięcia pióra, a z piersi wyrwał się drżący urywany oddech.

Czy pamiętasz jeszcze te cudowne dni, kiedy miłość do Doroty rozpalila w Twoich żyłach szalejący płomień, a Twoje noce ograbiła ze zdrowego, kamiennego snu? Wiem doskonale, że wszystko, co nosiło inne imię niż Dorota Mylius, albo nie miało z nią jakiegokolwiek związku, budziło w tobie bardzo umiarkowane zainteresowanie. Byłeś w tym czasie nie do zniesienia dla wszystkich ludzi, z wyjątkiem Doroty. Dotychczas nie potrafiłem zrozumieć twojego stanu ducha - ale teraz, teraz rozumiem co czujesz. Krótko mówiąc, chcę się ożenić, i to z dziewczyną, którą darzę bezbrzeżną, gorącą miłością.

Dotarłszy do tego miejsca, Anna-Dora spojrzała osłupiała i pobladła. Wpatrywała się na ostatnie słowa:

... dziewczyną, którą darzę bezbrzeżną, gorącą miłością. Co to była za dziewczyna? Gdzie się podziała, dlaczego nie została jego żoną? Z gorączkowo tłukącym się sercem czytała dalej, wszystko, co pisał o swojej miłości i tęsknocie za tym, by być z ukochaną dziewczyną.

Ale dość tego - w najbliższych dniach udam się do emerytowanego sędziego Hartwiga

i poproszę o rękę jego córki Wilmy, po czym powiem jej, że ją kocham, a każde włókno mego jestestwa pragnie w niej widzieć moją żonę.

Dziki, palący ból opanował serce Anny-Dory. Kim była Wilma, którą tak kochał? Nie przypuszczała, że już raz stała z nią twarzą w twarz. Skąd miałyby wiedzieć, że Wilma Hartwig nosiła teraz nazwisko Stein? Nie zdawała sobie też sprawy z tego, że od dnia, w którym Klaus napisał list minęło ponad sześć lat. Dla niej istniał tylko fakt, że jest dziewczyna, której on pragnął każdym włóknem swojego jestestwa.

Rozpalonym wzrokiem dotarła do końca listu. Ale oczy nieustannie wracały do tego jednego miejsca. Oddała się bolesnym rozmyśleniom, dlaczego wuj Klaus nie ożenił się z ową Wilmą Hartwig.

Czuła się, jak gdyby nagle jej życie pozbawiono wszelkiego światła słonecznego. Ograbiono ją z tego, co było dla niej najpiękniejsze, najwspanialsze - pewności, że wuj Klaus żadnego człowieka nie kochał tak mocno jak swojej Anny-Dory. Czuła się zupełnie opuszczona. Pod wpływem rozdzierającego bólu oparła łokcie o stół i ukryła twarz w dłoniach. Rozpacz i cierpienie duszy znalazły ujście w gorącym, rozpaczliwym łkaniu, które wstrząsało jej drobnym ciałem.

Cierpienie pochłonęło ją tak całkowicie, że nie zauważyła, że w tej samej chwili na zewnątrz przechodził Klaus. Już jakiś czas temu wrócił ze stacji i właśnie chciał wejść do domu, kiedy dostrzegł siedzącą przy oknie Annę-Dorę.

Zatrzymał się przestraszony, przez półotwarte okno docierało rozpaczliwe łkanie. Widział, jak drżały ramiona Anny-Dory, jak boleśnie głowa dziewczyny kryła się w dłoniach...

A on stał na zewnątrz i nie mógł jej pomóc. Był przecież przekonany, że boli ją rozstanie z malarzem. Ale pozwoliło mu to zapomnieć o własnym cierpieniu. Czuł narastającą czułość i serdeczność. Gdyby tylko mógł ją jakoś pocieszyć! Ale nie mógł nawet dać po sobie poznać, że wiedział, co się z nią działo. Skoro sama nie przyszła do niego z dziecięcym zaufaniem i nie opowiedziała otwarcie o swoim zmartwieniu, nie mógł zdradzić, że widział ją w takim stanie.

Cicho przeszedł obok, z powrotem do lasu.

Szedł, zatopiony w smutnych myślach. Myślał o Reimersie. Gdyby kochał Annę-Dorę tak serdecznie jak ona jego - czy nie dałby jakiegoś znaku miłości, aby nie zostawić jej w niepewności? Z pewnością tego nie zrobił, w przeciwnym razie nie byłaby tak zrozpaczona. A jeżeli Reimers w ogóle nie odwzajemniał miłości Anny-Dory, to co wtedy? Właściwie nie zaszła w nim żadna zmiana, aż do końca. Tylko Anna-Dora była inna od czasu, kiedy

Reimers był w Leśnym Dworze. Czyżby skutkiem jego pobytu miałyby być wyłącznie ból i zmartwienie? Czyżby musiała znosić cierpienie nieodwzajemnionej miłości?

Jego własne cierpienie poszło w zapomnienie. Niczego sobie bardziej nie życzył, jak tylko widzieć swoją małą Annę-Dorę szczęśliwą, chociażby kosztem własnego szczęścia.

Ale jak mógłby jej pomóc? Nie widział żadnego wyjścia, chociaż zastanawiał się i rozmyślał tylko o tym. Jedyne, co można było zrobić, to umożliwić ponowne spotkanie z Reimersem zimą. Może wtedy dojdzie do decydującej rozmowy.

Anna-Dora uspokoiła się po dłuższym czasie. List ukryła w kieszeni - nie chciała, by Klaus się dowiedział, że go znalazła i że wiedziała o jego miłości. Chociaż strasznie chciałaby wiedzieć, dlaczego nie ożenił się z tą Wilmą Hartwig, zapytać o to jego samego, nie, tego nie mogłaby zrobić. Ale teraz przynajmniej wiedziała, skąd się wziął obcy mu kiedyś smutek.

Jaki zły los przeszkodził nadchodzącemu szczęściu. Czy Wilma umarła? Czy nie była wierna? Czy to możliwe, żeby dziewczyna dobrowolnie zrezygnowała z uczynienia szczęśliwym jego, najlepszego, najwspanialszego mężczyzny, dla Anny-Dory najdroższego na świecie? Tak strasznie go kochała, jak bardzo pragnęła odsunąć od niego całe nieszczęście i cierpienie!

Powoli wstała, wzięła kapelusz i poszła do lasu. Chciała spróbować odsunąć od siebie smutne myśli, zanim spotka się z Klausem. Nie mógł się zorientować, że wiedziała o jego miłości i że ją to martwiło. Co by o niej pomyślał, gdyby wiedział, że jej uczucie dla niego zupełnie się zmieniło? Kochał ją przecież tylko tak, jak serdeczny ojciec kocha swoje dziecko. A ona - ona domagała się innej miłości, chociaż przecież wiedziała, że to pragnienie nie może zostać spełnione.

Nie zwracając uwagi na drogę weszła głębiej w las. Przypadek doprowadził ją do miejsca, gdzie kiedyś spotkała bezradnego Reimersa. Suknią zahaczyła o koleczasty krzew. Uwolniła się i rozejrzała wokół siebie, jak gdyby budząc się ze snu. Dopiero teraz zorientowała się, gdzie się znalazła, a jednocześnie dostrzegła Klause, który stał nieopodal oparty o drzewo.

Widział, jak nadchodziła.

Przestraszyła się, spotkawszy go tak niespodziewanie. Jej twarz okryła się ciemnym rumieńcem.

Nie uszło to jego uwagi, zauważył też ślady przelanych łez.

Był przekonany, że powrót w to miejsce nie był przypadkowy. Na pewno serce przywiodło ją na miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkała Reimersa. Zauważył jej zmieszanie i wytłumaczył je sobie na swój własny sposób. Ale kierując się dobrocią, próbował pomóc jej

uniknąć niezręcznej sytuacji.

- Wyszłaś przejść się jeszcze po lesie? - spytał udając spokój.

- Tak! Ale ty - skąd ty się tu wzięłaś? Gdzie został powóz?

Ze wszystkich sił starała się sprawiać wrażenie spokojnej.

- Już w domu. Chciałem jeszcze trochę rozruszać kości.

Nieśmiało spojrzała mu w twarz. Jak boleśnie zmarszczył czoło! Czy w myślach był przy Wilmie Hartwig? Czy tęsknił za nią? Czy była dla niego nieosiągalna - na zawsze, a on nie mógł jej zapomnieć - już nigdy?

Podszedł do niej i podał jej ramię.

- Chcesz iść dalej, czy wolisz wrócić do domu? - spytał czule, tak jak się pyta chore dziecko, czy ma jakieś życzenia.

- Chodźmy do domu!

Szli ramię w ramię.

- Reimers prosił, bym jeszcze raz ciebie serdecznie pozdrowił.

- Dziękuję.

- Obiecałem mu, że zimą przyjedziemy na kilka tygodni w odwiedziny.

Skinęła głową w zamyśleniu.

- Ja już prawie mu to obiecałam - o ile ty nie miałbyś nic przeciwko temu - odpowiedziała.

- Czy kiedykolwiek sprzeciwiałem się, jeżeli chodziło o to, by ci sprawić radość?

Bez słowa przytuliła się mocniej do jego ramienia i podniosła ku niemu wilgotne oczy.

- Nie - jesteś dla mnie taki dobry, tak niewymownie dobry.

W słowach tych krył się trwożliwy żar, który na pewno dałby mu wiele do myślenia, gdyby nie był tak opętany przekonaniem, że Anna-Dora kochała Reimersa.

- Do naszego Leśnego Dworu wróci dawna cisza, będzie nam bardzo brakowało Reimersa.

- Tak, był miłym, zabawnym towarzyszem - dodała naturalnym głosem.

- A więc znowu jesteś zdana na swojego starego, nudnego wujka Klausea.

Serce dziewczyny zabiło mocniej. Gdyby tylko wiedział! Zmusiła się do żartu.

- Czy chcesz, żebym ci powiedziała komplement?

Potrząsnął głową.

- Nie, dziecko! Bądź szczerą i przyznaj, że jestem dla ciebie nudnym towarzyszem.

Znowu podniosła na niego poważne spojrzenie.

- Gdybym to chciała przyznać, musiałabym skłamać, a tego przecież nie chcesz.

Nie wytrzymał spojrzenia jej oczu. Malowało się w nich coś, co go zaniepokoiło. Dlaczego nie miała już do niego zaufania? Dawniej przychodziła do niego z najdrobniejszym zmartwieniem i dzieliła z nim każdą radość.

A teraz - w tej wielkiej potrzebie serca zamykała przed nim wszelki dostęp.

Idąc obok Anny-Dory przyglądał się ukradkiem jej twarzy. Dostrzegł bolesny, obcy rys, dotychczas wesoło paplające usta były zaciśnięte, jak gdyby nakazano im chronić jakąś tajemnicę.

Kiedy tak obserwował ją z wewnętrznym niepokojem, spojrzała w górę. Oczy jej spotkały oczy Klause - pełne bolesnej miłości zapatrzone w jej twarz, te dobre, kochane oczy. Zadrżała i poczuła zawrót głowy, tak że zbladła i osunęła się. Przestraszony otoczył ramionami drżące ciało.

- Anno-Doro!

Jeden jedyny przerażony krzyk.

Leżała z zamkniętymi oczami na jego piersi i nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Jak we śnie czuła mocne bicie jego serca i słyszała troskę, z jaką wymówił jej imię. Było tak, jak gdyby otoczyła ją różowa chmura.

Jak ja go kocham, myślała niejasno, drżąc w bolesnej rozkoszy i marzyła o tym, by móc umrzeć właśnie w tej chwili, w jego objęciach.

Mieszanina wstydu i nieśmiałości zawładnęła nią, gdy wreszcie doszła do siebie. Wyprostowała się, a blada twarz pokryła się rumieńcem.

- Co się stało, Anno-Doro? Chyba nie jesteś chora? - dopytywał się Klaus z troską i obawą.

Zmusiła się do uśmiechu. Byleby tylko nie zdradzić nic z tego, co przepelniało jej duszę! Kobięca intuicja pomogła jej udąć swobodę, której nie odczuwała.

- Już mi przeszło. Myślę, że zrobiło mi się trochę za gorąco. Powietrze jest dzisiaj takie ciężkie.

Wciąż jeszcze patrzył na nią z troską.

- Czy teraz czujesz się zupełnie dobrze?

Skinęła głową i roześmiała się z leciutkim wstydem.

- Nie martw się! Naprawdę już wszystko przeszło. Wiesz, dojdzie do tego, że będę cierpiała na migrenę, jak damy z wielkiego miasta.

Widział, że próbuje odwrócić jego myśli i udał, że się już uspokoił.

- Ach nie zrobisz mi tego, Anno-Doro! Młoda dama cierpiąca na migrenę, nie, tego zwyczajnie nie możesz wprowadzić w Leśnym Dworze. Wszyscy Hendrichsenowie obrócili by

się w grobie, gdybyś się okazała odszczepieńcem - zażartował Klaus.

Troskliwie otoczył ramieniem jej szczupłą postać i poprowadził ją dalej. Starał się przy tym wywołać wrażenie zupełnie spokojnego i wesołego, rewanżując się za jej starania. Sądził przecież, że uległa rozpaczce z powodu rozstania. Jego wewnętrznego wzburzenia nie zdradzało nic poza mocnym biciem serca, podchodzącym pod samą szyję i zabierającym spokojny oddech.

Tak doszli do Leśnego Dworu - oboje ze wszystkich sił starając się o spokojny i zadowolony wygląd.

Życie powróciło do starego rytmu. Wuj i bratanica starali się ukryć przed sobą własne uczucia. Tylko pani Sonnenmann widziała, co trwożliwie i w tajemnicy odgrywało się na scenie Leśnego Dworu.

Pewnego dnia miała pełne ręce roboty. Trzeba było przygotować owoce na zimę. Nie była więc zachwycona, kiedy Klaus przeszkodził jej, prosząc ją do swojego pokoju. Ale jedno spojrzenie na poważną, zatroskaną twarz mężczyzny wypłoszyło małosłowne niezadowolenie. Spojrzał na nią ze zmartwieniem, a ona spostrzegła, jak bardzo zbladł i schudł w ostatnim czasie.

- Droga pani Sonnenmann, martwię się o Annę-Dorę.

- Nasze dziecko? Niech Bóg ma ją w swojej opiece, panie doktorze. Co się stało?

- Czy nie zauważyła pani, że Anna-Dora nie czuje się dobrze?

- Nie, z całą pewnością nie.

Opowiedział jej o omdleniu Anny-Dory w lesie i zapytał, co mogło być przyczyną.

Badawczo spojrzała mu w twarz. Koło ust błąkał się lekki uśmiech.

- Z tego powodu nie musi pan się zamartwiać. To już takie dziewczęce problemy, przejdą same, jak przyjdzie odpowiednia pora.

Ta dosyć dwuznaczna wypowiedź nie bardzo mogła uspokoić Klause.

- Czy nie uważa pani, że należałoby zasięgnąć porady lekarskiej?

Pani Sonnenmann pokręciła głową.

- Temu żaden lekarz nie zaradzi. Niech pan tylko nie robi takiej przerażonej miny, panie doktorze! Fizycznie panience na pewno na niczym nie zbywa.

Milczał.

Fizycznie? A więc i pani Sonnenmann zauważyła, że odmiana, jaka zaszła w Annie-Dorze miała inną przyczynę, niż złe samopoczucie.

Po chwili zapytał:

- Z pewnością sama pani zauważyła, że Anna-Dora bardzo się zmieniła. Czy nie

zastanawiała się pani, skąd ta zmiana?

Pani Sonnenmann zaczerwieniła się. Najchętniej powiedziałaaby swojemu młodemu panu: „Czy ty nie widzisz, że to dziecko śledzi za tobą tęsknym wzrokiem, że nie ma w głowie nic innego oprócz ciebie?” Ale nie wiedziała, czy nie zniszczyłaby w ten sposób czegoś, co jeszcze niedostatecznie zapuściło korzenie.

Spojrzała na swojego pana doktora dziwnym wzrokiem. Później powiedziała powoli:

- Cóż, panie doktorze, nasza Anna-Dora wyrosła na młodą, dojrzałą kobietę. Gdy się ma dwadzieścia lat, to i serce ma coś do powiedzenia.

Klaus zatopił się w smutnych rozmyślaniach, oczywiście odniósł sugestię pani Sonnenmann do Reimersa. Było jasne, że również ona dostrzegła uczucie Anny-Dory dla malarza.

Kobieta cicho opuściła pokój, nie mając pojęcia, że jej słowa zostały zupełnie inaczej zrozumiane niż chciała i oczekiwała.

W krótkich odstępach czasu docierały od Reimersa wesołe listy. Opowiadał, że jury przyjęło jego obraz, a handlarz dzieł sztuki gwałtownie domaga się jego prac. Musiał nawet przygotować i wysłać mu starsze, niewykończone szkice. Wszystko dobrze się sprzedawało.

We wszystkich listach dominował swawolny ton, tak charakterystyczny dla Reimersa. Tylko od czasu do czasu zdobywał się na poważniejszą wypowiedź, nigdy wtedy nie zapominał o wyrażeniu swojej dla nich wdzięczności.

Anna-Dora przyjmowała każdy list z dużą radością i nie wiedziała, że Klaus z bolesną zazdrością mylnie interpretuje jej rozradowaną minę.

Mimo to często rozmawiał z nią o Reimersie, zawsze z nadzieją, a jednocześnie obawą, że zawierzy mu swoją tajemnicę. Bardziej niż cokolwiek innego dręczyła go myśl, że Anna-Dora straciła do niego zaufanie. Nie opuszczał go bowiem ukryty strach, że mogłaby zauważyć, co się z nim działo. Czasami obawiał się, że zorientowała się już, w jakim jest stanie i właśnie stąd bierze się jej dystans wobec niego. Jeszcze bardziej starał się wtedy trzymać w ryzach i zupełnie poważnie podejmował próby, by żywić dla niej wyłącznie ojcowskie uczucia. Ale jak by się nie opanowywał na zewnątrz, serce nie pozwoliło sobie rozkazywać. Im bardziej starał się je stłumić, tym intensywniej wzburzało się przeciw przymusowi.

Podczas ostatnich dni lata Anna-Dora często wyjeżdżała na wycieczki swoim nowym powozem.

Klaus zagłębiał się w swoją pracę naukową, bo jesienią nie było dużo pracy w gospodarstwie. Zarządca doskonale dawał sobie radę ze wszystkim.

W ten sposób Anna-Dora i Klaus mogli bez wysiłku schodzić sobie z drogi.

Później jednak nastaly słotne dni, które sprawiły, że przebywając pod jednym dachem zdani byli na ciągły kontakt.

Aby wypełnić coraz dłuższe wieczory, które spędzali siedząc naprzeciw siebie w starym pokoju, Klaus zaproponował głośne czytanie. Anna zgodziła się z radością. Z początku pomyślała o tym, że dzięki temu unikną niepokojącego wrażenia, kiedy cisi i skrepowani będą siedzieć naprzeciw siebie. Ale później okazało się, że pomysł był bardzo dobry. Umościła się wygodnie w jednym z dużych, ciężkich foteli i wsłuchiwała w ciepły, pięknie brzmiący głos Klausa. Czuli się wspaniale, bo bez przeszkód mogła się przyglądać ukochanej twarzy. Marzyła, żeby zawsze tak mogło być. On i ona - w zażyłej przyjaźni w kochanym Leśnym Dworze. Na zewnątrz mogła szaleć najdziksza burza, tłukąca w okna i gnąca żałośnie zawodzące drzewa - ona była bezpieczna, tak długo jak był przy niej Klaus.

* * *

Jesień minęła i kiedy Anna-Dora pewnego dnia zbudziła się i wyjrzała przez okno, całą okolicę otulała gruba biała warstwa śniegu.

Taki dzień jak ten był dla niej zawsze radosnym świętem. Atakowała wuja Klausa kulami śniegowymi, kiedy tylko się pojawił na dole, i w kipiącej radości biegała naokoło domu, aż ślady stóp zamykały domostwo jak w kręgu. Cieszyła się pierwszym śniegiem tak samo jak pierwszymi fiołkami i przebiśniegami świadczącymi o nadchodzącej wiosnie.

Dzisiaj patrzyła na biały przepych z powagą i w zamyśleniu, jak się wszystko zmieniło! Jak lekko i beztrąsko żyła wcześniej, z dnia na dzień, radosne, naturalnie szczęśliwe dziecko. A dzisiaj? Dzisiaj na ramionach dźwigała ciężar, słodki ciężar, ale jednak. Dzisiaj nie była już dzieckiem, była młodą, świadomą swojej miłości kobietą, której z pewnością nie będzie dane spełnienie cichych, serdecznych pragnień. Jeszcze większym ciężarem była świadomość, że Klaus był nieszczęśliwy. Tego była pewna. Jak mógłby być szczęśliwy, żyjąc z niespełnioną tęsknotą za Wilmą?

Kiedy zeszła na śniadanie, Klaus już czekał.

- Tutaj jest list od pani profesorowej Schratt. Zaprasza nas, żebyśmy choć raz spędzili Boże Narodzenie u niej w Berlinie. Co ty na to?

Anna-Dora słuchała bez entuzjazmu.

- Czy chcesz przyjąć jej propozycję? - zapytała z niepokojem.

- To zależy od ciebie, dziecko.

Spojrzała w oczy patrzące na nią uważnie i zaczerwieniła się.

- Dotychczas zawsze spędzałam Boże Narodzenie w Leśnym Dworze, wujku - powiedziała cicho.

- Ja różnie - odpowiedział spokojnie. - Ale jeżeli ty chcesz, pojedziemy do Berlina.

- Boże Narodzenie nigdzie nie będzie takie piękne, jak w Leśnym Dworze.

- I ja tak sędzę.

- A więc zostajemy tutaj, tak?

- Chętnie, jeżeli nie czujesz się zbyt osamotniona.

Potrząsnęła głową.

- Dlaczego nagle miałabym się poczuć osamotniona?

- Nie wiem - czasami wydaje mi się, że jesteś taka cicha i zamknięta w sobie. Myślę, że brakuje ci wesołego towarzystwa.

Na twarz dziewczyny wystąpiły czerwone rumieńce.

- Przecież w styczniu pojedziemy do Lipska - powiedziała szybko, by odwrócić jego uwagę.

Na chwilę zacisnął wargi, ale potem odpowiedział spokojnie.

- To oczywiście się nie zmieniło. Ale gdybyś wolała, moglibyśmy wcześniej pojechać do Berlina, tym bardziej, że jesteśmy zaproszeni na duży bal sylwestrowy. Tutaj jest zaproszenie! Pani Wilma Stein zaprasza nas, byśmy wzięli udział w urządzanym przez nią balu. Z pewnością będzie to wspaniała uroczystość. Czy nie kusi cię, znów wytańczyć się do syta?

Pokręciła tylko przecząco głową. Zwróciła uwagę na to, jak powiedział „Wilma Stein”, Wilma - to imię miało teraz dla niej szczególne brzmienie. I nagle ożyło wspomnienie o pełnej, ładnej blondynce - pani Wilmie Stein. Pamiętała dokładnie niemiłe wrażenie, jakie wywarła na niej kobieta, która zmierzyła ją zimnym, badawczym spojrzeniem.

Anna-Dora odruchowo wzięła do ręki zaproszenie na wytwornym papierze czerpanym. Nagły ból wdarł się jej do serca.

Wilma Stein, z domu Hartwig - a więc miała tutaj czarno na białym. A więc to była kobieta, do której należała miłość Klause!

Najchętniej zaczęłaby krzyknąć z bólu, ponieważ zjawą z jej snów przybrała realną postać. Duszę jej wypełniła namiętna nienawiść do tej kobiety. Dopiero teraz dopadły ją wszystkie męki zazdrości. A jednocześnie serce wypełniła złość na niewierną, która potrafiła zrezygnować z Klause, żeby zostać żoną innego.

Jak skamieniała spoglądała na kartę i z trudem usiłowała się opanować.

- A więc, Anno-Doro, pewnie to zmienia twoje nastawienie? Czy teraz chcesz, żebyśmy jednak wybrali się do Berlina? - zapytał Klaus uśmiechając się, nie przeczuwając, co działo się w duszy Anny-Dory.

Odrzuciła kartkę, jak gdyby ta parzyła.

- Nie, nie, nie chcę, ja - ja nie chcę nigdzie indziej tylko do Lipska, a w Boże Narodzenie chcę być w Leśnym Dworze - zawołała wzburzona.

Odetchnął głęboko.

- Dobrze, Anno-Doro.

Płomiennym wzrokiem spojrzała mu w twarz.

- Ale ty - ty na pewno chciałbyś pójść na to przyjęcie?

- Nie, dziecko, zupełnie mi na tym nie zależy, akurat to zaproszenie przyjąłbym niechętnie.

- A to dlaczego? - wyrwało się Annie-Dorze.

Zaczerwienił się.

- Ponieważ nie przepadam za towarzystwem pana Steina. Nie lubię go i nie chciałbym korzystać z jego gościnności.

Drżącymi dłońmi gładziła obrus.

- Ale pani Stein jest również twoją dawną znajomą?

- Tak, bywałem w domu jej rodziców. Ale wracając do tematu - a więc tak jak ustaliliśmy: odmówię w imieniu nas obojga.

Skinęła głową. Uczucie żalu zasznurowało jej gardło, tak że nie mogła powiedzieć ani słowa.

Zaczął mówić o podróży do Lipska i o ponownym spotkaniu z Reinersem. Starła się wywołać wrażenie radości, żeby ukryć przed nim burzę, która rozpetała się w jej wnętrzu. Śmiejąc się przypomniawszy Klausowi kilka zabawnych pomysłów malarza i nie ukrywała, że cieszy się na to spotkanie.

Ze smutnym uśmiechem godził się na wszystko. Jak się ożywiła, kiedy mówiła o Reimersie! Jak lśniły jej oczy!

Tak więc zwodzili się nawzajem, by nie zdradzić najgłębszych, prawdziwych uczuć. I oboje tej komedii wierzyli, bo opanowani zafalszowanym szaleństwem nie mieli odwagi spojrzeć prawdzie prosto w oczy.

Pani Sonnenmann wcale nie była zadowolona z wyczynów młodych dziedziców. Jej mądre oczy widziały, jak bardzo tych dwoje ludzi się męczyło. Nie była niestety w stanie

zgadnąć, co ich właściwie dzieliło. Inaczej z pewnością mogłaby troszeczkę dopomóc. Ale tak miała związane ręce i musiała spokojnie się przyglądać, jak między Klausem i Anną-Dorą rósł dystans niczym niewidoczna ściana. Myślała nad najróżniejszymi dyplomatycznymi pociągnięciami, ale rezygnowała raz za razem, bo nie dawała wiary swoim dyplomatycznym umiejętnościom, a więc możliwości sukcesu. Dobra, wierna dusza bała się o tych dwoje młodych ludzi, do których jej serce należało, jak gdyby były jej własnymi dziećmi.

* * *

Nadeszły święta.

Anna-Dora miała w ostatnim czasie dużo pracy. Co roku organizowała małą uroczystość dla dzieci wiejskich i sama zajmowała się wszystkimi przygotowaniem. Wydawało się, że wróciło coś z dawnego entuzjazmu i niezmiennie dobrego nastroju. Ciepły, jasny śmiech rozbrzmiewał częściej niż zwykle, a to z kolei cieszyło Klause. Zwracała się do niego z tysiącem drobnych spraw, jak za dobrych dawnych czasów, co sprawiło, że podobnie jak ona, był w stanie zapomnieć o czającym się w każdym kącie smutku.

Dzieci zaproszono do Leśnego Dworu na wieczór wigilijny. Roześmiana Anna-Dora rozdawała wśród niecierplivej gromadki drobne prezenty i wypychała kieszenie dzieci łakociami. Wuj Klaus i pani Sonnenmann pomagali jej, zaś zarządca wręczał każdemu brzdącowi woreczek pełen jabłek i orzechów.

Ileż to sprawiło żywiołowej radości i okrzyków, dopytywania się i śmiechu bez końca!

W końcu niespokojne duszki, ośmieliwszy się na zmieszane podziękowania, ruszyły w drogę powrotną. Proste buty podbite gwoździami i drewniane chodaki zatupały po wyszorowanej do białości sieni, którą pani Sonnenmann przewidująco wyłożyła gałęziami jedliny. Później wszystko otuliła cisza.

Zapach jodły walczył o pierwszeństwo z aromatem świeżo upieczonego ciasta i pieczeni świątecznej dla czeladzi.

Było zupełnie tak samo, jak zawsze w wieczory wigilijne - z tą jedyną różnicą, że dwie pary młodych oczu nieśmiało szukały choćby krótkiego spotkania i ukradkiem wymieniały serdeczne spojrzenia.

Jak zawsze wręczono prezenty gwiazdkowe dla służby, jak zawsze Klaus i Anna-Dora obdarowali się nawzajem, a potem jak zawsze siedzieli z panią Sonnenmann i zarządcą przy stole, wszystko tak jak dawniej - a przecież inaczej.

Późnym wieczorem życzyli sobie dobrej nocy i Anna-Dora udała się do swojego pokoju. Po przejściu przez próg rzuciła się z głośnym szlochem na łóżko.

Klaus niespokojnie chodził tam i z powrotem po swoim pokoju i nie mógł dać sobie rady z gorącymi pragnieniami, które nim zawładnęły i nie pozwalały zapomnieć o Annie-Dorze. Nie pomagało tłumaczenie, że może wobec niej żywić wyłącznie ojcowskie uczucia. Serce płonęło w drżącej tęsknocie i nie słuchało argumentów rozsądku. Jednego był pewien: długo już nie wytrzyma życia obok niej. Nadchodził najwyższy czas, żeby Reimers zdecydował się poprosić o rękę Anny-Dory, wtedy będzie mógł oddać dziewczynę pod jego opiekę i odejść. Dalej tak nie mogło być, to przekraczało jego siły. Niewyczerpane uczucie zawładnęło jego silną osobowością i gwałtownie domagało się posiadania - nie mógł dłużej żyć obok ukochanej kobiety, wyrzekając się własnych pragnień.

Następnego ranka siedzieli przy śniadaniu naprzeciw siebie, bladzi i milczący. Wtedy przyszedł posłaniec i przyniósł paczuszkę dla Anny-Dory. Natychmiast rozpoznała rękę, która napisała adres.

- Od Reimera - do mnie - powiedziała, uśmiechając się i rozpakowała karton. Ukazał się mały obrazek. Anna-Dora krzyknęła z zachwytem.

- Leśny Dwór! Spójrz wujku, namalował dla mnie Leśny Dwór! Jaki śliczny, prześliczny!

Oglądała obrazek błyszczącymi oczyma. Klaus schylił się nad jej ramieniem i z takim samym zachwytem patrzył na obraz namalowany mistrzowską ręką.

Wreszcie, wyprostowując się, powiedział:

- Karton jeszcze nie jest pusty, Anno-Doro.

Z ociąganiem odłożyła obraz. W kartonie leżała jeszcze ładna złota broszka. Na wieczku etui napisano złotymi literami:

Dla mojej kochanej pani Sonnenmann z serdecznymi podziękowaniami.

Anna-Dora uśmiechnęła się.

- A to się Sonnenmannek ucieszy. Zaraz jej to dam. Już chciała wybiec.

- Czy nie chcesz najpierw przeczytać listu, który Reimers dla ciebie dołączył? - zapytał Klaus ochryplym z przejęcia głosem.

Śmiejąc się, potrząsnęła głową.

- Najpierw pani Sonnenmann powinna dostać swoją niespodziankę. Już jej nie było.

Klaus ważył w ręku wąski liścik.

- Czuję się, jak gdyby to pismo miało przynieść spełnienie mojego losu - pomyślał z dręczącym niepokojem. Z westchnieniem odłożył list z powrotem na miejsce Anny-Dory.

Kiedy wróciła, siedział schylony nad obrazem, jak gdyby zatopiony w oglądaniu. Śmiejąc się opowiedziała, że pani Sonnenmann zupełnie oszalała z radości. Później usiadła i otworzyła list.

Klaus siedział bez ruchu, ale czuł się, jak gdyby za chwilę miano ogłosić wyrok śmierci na niego.

Przeczytawszy list do końca, Anna-Dora podała go Klausowi. Uciekł wzrokiem przed jej promiennym spojrzeniem.

- Proszę, wujku, radosna niespodzianka! Przeczytaj tylko, zdziwisz się i podzielisz moją radość!

Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Ciężką ręką ujął list i czytał:

Moja kochana, łaskawa panienko, Anno-Doro! A więc wreszcie dotarłem do celu moich gorących serdecznych marzeń i Pani, jako moja droga powierniczka, powinna być pierwszą osobą, która się o tym dowie, od godziny moja jasnowłosa Greta jest moją narzeczoną.

Klaus zerwał się na równe nogi i osłupiałym wzrokiem wpił się w Annę-Dorę. Przestraszona spojrzała mu w twarz, zmienioną ogromnym wzruszeniem.

- Co się stało? - zapytała, patrząc na niego ze strachem.

Szukał słów.

- Reimers jest zaręczony?

Zabrzmiało to jak ciężkie westchnienie z głębi piersi.

Niespokojnie patrzyła na stojącego nad nią Klause.

- Tak, w tajemnicy już od dawna.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- I ty o tym wiedziałaś?

- Tak, często opowiadał mi o swojej jasnowłosej Grecie, ale nikt nie powinien był się o tym dowiedzieć, bo jej rodzice byli przeciwni temu związkowi. Nie wierzyli w jego talent. Przecież dlatego poprosiłam ciebie wtedy, żeby kupić jeden z jego obrazów. Darzyli się taką piękną miłością i pragnęli być razem, więc chciałam im trochę dopomóc.

Schylił się do przodu i rozpalonym wzrokiem patrzył jej w twarz. Teraz gwałtownym ruchem chwycił ją za rękę.

- Nie kochasz go? Anno-Doro, nie kochasz go?!

Pokręciła głową i spojrzała na niego szczerze zdziwiona.

- Jakże bym mogła, wujku, w gruncie rzeczy jest mi przecież zupełnie obcy - jak miałabym go pokochać?

Równie gwałtownie puścił rękę i zanim Anna-Dora zdołała otrząsnąć się z szoku, wybiegł z pokoju.

Anna-Dora siedziała jak sparaliżowana. Co się z nim działo, dlaczego był taki blady i zdenerwowany? Nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. W żyłach miała ołów, a głowę wypełniły trwożliwe myśli.

Wreszcie wrócił, po długim czasie, który zdawał się wiecznością. Był strasznie blady, ale udało mu się zapanować nad wyrazem twarzy. Spokojnie zbliżył się do Anny-Dory.

- Moje dziwne zachowanie przstraszyło cię. Wybacz mi, Anno-Doro! Nie wiesz, co o mnie myśleć, dlatego chcę ci wyjaśnić. Od dawna martwiłem się bardzo o cię, ponieważ myślałem, że kochasz Reimersa i jesteś zaniepokojona tym, że nie prosi cię o rękę.

Spuściła wzrok pod jego niespokojnym, badawczym spojrzeniem.

- Niepotrzebnie się niepokoiłeś, wujku. Reimers był tylko dobrym przyjacielem, nikim więcej.

- Wierzę ci, Anno-Doro. Ale to nie zmienia faktu, że się zmieniłaś od czasu, gdy Reimers był tutaj. Wiem z całą pewnością, że dręczy cię jakieś ukryte zmartwienie. Tego dnia, kiedy Reimers odjechał, wróciłem wcześniej, niż się pewnie spodziewałaś. Zobaczyłem cię, siedzącą tutaj przy oknie, pogrążoną w głębokim smutku. Wstrząsał tobą niepohamowany szloch. A kiedy spotkałem cię później w lesie, widziałem jeszcze ślady łez w twoich oczach. Po drodze do domu straciłaś przytomność - jak gdyby pod wpływem głębokiego duchowego wzruszenia.

Anno-Doro, nie jesteś już dzieckiem, ale dzień po dniu czekałem z bolesnym niepokojem, byś przyszła do mnie i z ufnością zawierzyła swoje zmartwienia. Myślałem, że kochasz Reimersa i czułaś żal, iż odjechał bez zadeklarowania swoich zamiarów. Anno-Doro, czy nie wolno mi wiedzieć, co cię gnębi? Czy nie masz już do mnie zaufania?

Zadrzała. Całą postać przebiegł dreszcz.

- Anno-Doro, co cię dręczy, dlaczego płakałaś tak gorzko, czy nie chcesz mi powiedzieć? - pytał cicho, usilnie.

Wtedy wyprostowała się nagle i spojrzała na niego pełnym żalu spojrzeniem, którym poruszyła go do głębi.

- To było przez cię - płakałam przez cię.

Spojrzał nic nie rozumiejąc.

- Przeze mnie? Przeze mnie, Anno-Doro? Co ja takiego zrobiłem?

- Tak, przez cię. Znalazłam w surducie tatusia list od cię. Piszesz w nim, że

kochasz Wilnę Hartwig. To mnie tak zabolalo. Zawsze myslalam, ze nikogo tak nie kochasz jak mnie. To, ze byles nieszczesliwy, zauwazyłam sama. Kochasz ja nadal, te zimna, niewierna kobieta, ktora ciebie zdradzila i przez to jestem taka nieszczesliwa.

Wyrzucila wszystko z siebie z nieopanowana gwałtownoscia, nie wiedzac, jak bardzo ja to zdradzalo. Przy ostatnich slowach wybuchla bolesnym łkaniem.

Patrzyl na nia, nie wierzac własnym zmyslom. W oczach zajaśniala drzaca nadzieja.

- To sprawilo, ze jesteś taka nieszczesliwa, Anno-Doro? - zapytal.

Skinęła w milczeniu, a potem powiedziala cicho, w najglębszej mece:

- Gdybym umarla razem z tatusiem! Nikt mnie nie potrzebuje.

Podszedl do niej, cala sila woli opanowujac rozszalale zmysly. Ujal ja za rece.

- Anno-Doro, jak moglas powiedziec cos takiego? Czym bylyby moje zycie bez ciebie? Dziecko, czy nie czujesz, ile teraz dla mnie znaczysz?

Drzala. W jego slowach bylo tyle miłości i serdecznosci, a jego oczy patrzily zupełnie inaczej niz zwykle. Spojrzala na niego, a on wytrzymal jej spojrzenie. Patrzyli na siebie z trwozliwym zarem, wciaz jeszcze niezdolni uwierzyc w szczesliwy cud.

- A Wilma Hartwig? - wyszeptala.

- Wilma Hartwig? Kiedyś byla mi droga, Anno-Doro. Ale odrzucila mnie, bo bala sie cichego zycia w Leśnym Dworze, bo w tym samym czasie ubiegal sie o jej rece bogatszy mezczyzna. Kokietowala mnie, a ja uwierzylem w jej miłość. Bol z powodu tej straty przewyciezylem po krótkim czasie. Ale ty, Anno-Doro, ty wroslas glęboko w moje serce. Tak glęboko, ze boje sie czasow, kiedy ciebie przy mnie juz nie bedzie.

Czego nie powiedzialy slowa, zdradzily oczy. Patrzily tak goraco i tesknie. Nie byl w stanie juz dluzej nad nimi panowac. Jej slodki, dziewczęcy urok macil zmysly. W naplywie uczuc objal ja przez chwile ramionami; czula, ze drzal na calym ciecie. Później puscił ja i ciezko wzdychajac odsunal sie.

Patrzyla goracymi oczami, nie ruszajac sie z miejsca.

- Nie patrz tak na mnie, dziecko! Ja tez jestem tylko czlowiekiem - powiedzial z meka w glosie.

Wtedy podeszla do niego. Podniosla na niego trwozliwe, blagalne spojrzenie. Wargi jej drzaly, w oczach ujrzal odbicie calaj duszy dziewczyny. Przycisnela rece do oszalalego serca.

- Klaus - kochasz mnie?

Stali naprzeciw siebie, twarza w twarz.

- Tak, Anno-Doro, kocham cie, tak jak mezczyzna kocha kobieta, w tesknym

pożądaniu. Walczyłem z tą miłością, nie chciałem być dla ciebie nikim innym, jak tylko czułym ojcem. Ale to było silniejsze ode mnie. A jeżeli nie chcesz i nie możesz być moją żoną - Anno-Doro, to będę musiał się z tobą rozstać. Już dłużej nie mogę żyć obok ciebie w ten sposób.

W odpowiedzi oczy jej rozbłysły niewypowiedzianym szczęściem. Podniosła ku niemu ręce.

- Klaus, kocham cię - powiedziała z bezgraniczną, gorącą czułością.

Przytulił ją mocno.

- Anno-Doro - Anno-Doro!

Roześmiała się szczęśliwie i oplótła ramionami jego szyję.

- Klausie, mój Klausie!

Patrzyli na siebie płonącymi oczami. Wtuliła się mocno w jego ramiona, a czerwone wargi oczekiwały z drżącą tęsknotą.

Całował je z gorącą namiętnością, cały świat wokół nich zapadł się w niebyt.

Wreszcie zbudzili się z błogiego snu. Klaus z promiennym zachwytem patrzył na Annę-Dorę.

- Jesteś taka piękna, najdroższa, twoja miłość jest największym szczęściem mego życia!

Ukryła twarz, wtuliwszy się w jego pierś. - Trzymaj mnie, Klausie - jeżeli to jest sen, pozwól mi umrzeć, zanim się obudzę! Całował namiętnie jej rozpalone usta.

- Kochanie, czy to możliwe? Kochasz starego wujka Klause - który przecież jest dużo za stary, żeby się ożenić? A teraz sama chcesz zostać jego żoną?

Śmiała się cicho i radośnie.

- Ja po prostu nie oddam ciebie żadnej innej.

- Od kiedy mnie kochasz?

- Zawsze.

- Nie, pytam o inną miłość, od kiedy chciałabyś zostać moją żoną.

- Dokładnie nie wiem. Pierwszy raz zdałam sobie z tego sprawę w moje ostatnie urodziny, kiedy mówiłeś o tym, że - że może kiedyś mógłbyś się ożenić.

- I tak długo mnie dręczyłaś!

- A ty mnie!

- Tym większe jest moje szczęście, maleńka. Tego się w ogóle nie da ogarnąć zmysłami ani rozumem, jak bardzo ciebie kocham.

Przytuliła policzek do jego twarzy.

- Klaus, jestem taka szczęśliwa - ach, jak cudownie, że skończyły się wszystkie zmartwienia.

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Mój Boże, już wkrótce, bardzo wkrótce, staniesz się moją najdroższą kobietą. Moja słodka, dobra Anno-Doro, czy nie obawiasz się ogromu mojej miłości?

Objęła go, a w spojrzeniu pojawiła się skryta trwoga.

- Nie przed twoją, ale przed moją własną - sama siebie już nie poznaje.

Delikatnie pocałował ją w czoło.

- Nie bój się - nie bój przyszłości. Czy może już teraz żałujesz?

Przytuliła się jeszcze mocniej.

- Nie, o nie. Kocham cię tak mocno, że niczego bardziej nie pragnę, jak tylko twojego szczęścia.

- To leży wyłącznie w twojej mocy, moja Anno-Doro - powiedział z żarem w głosie.

Kiedy w godzinę później pani Sonnenmann weszła do pokoju, aby sprzątnąć po śniadaniu, wyszli jej naprzeciw, ramię w ramię.

- Pani Sonnenmann, proszę na nas spojrzeć! Mamy niespodziankę - powiedział Klaus wesoło.

Kobieta spojrzała badawczo na jego rozjaśnione szczęściem oczy i na rozpaloną twarz Anny-Dory. Radosny uśmiech błąkał się wokół ust, a z piersi wyrwało się głębokie westchnienie.

- Dzięki Bogu, nareszcie; powiedziała z ulgą.

Narzeczeni stali zdziwieni.

- Czyżby pani wiedziała, na czym polega nasza niespodzianka? - zapytał Klaus.

Przytaknęła energicznie.

- Oczywiście, w Leśnym Dworze odbędzie się w najbliższym czasie wesele. Hendrichsen ożeni się z Hendrichsenówną.

- Skąd pani wie?

- Przecież poznałam po was. Takie tęskne spojrzenia wymieniają tylko zakochani.

Klaus objął starszą panią śmiejąc się i pocałował ją w policzek.

Anna-Dora poszła za jego przykładem.

- Jest pani jasnowidzem - zawołała uśmiechając się.

- Dziecko, ja też kiedyś byłam młoda. A teraz moje najserdeczniejsze życzenia; już dawno marzyłam o tym, żeby ich się pozbyć!

- Czy nie jestem za stary dla mojej Anny-Dory, droga pani Sonnenmann? - zapytał

Klaus z lekką trwogą.

Roześmiała się.

- Siwych włosów jeszcze pan nie ma, panie doktorze i nadal jest pan wysmukły i zwinny. Jeżeli panienska Anna-Dora jest zadowolona, to kto ma tu coś do gadania?

- A jesteś - Anno-Doro? - zapytał cicho.

Ścisnęła go za rękę.

Potem wyszli do zasypanego śniegiem lasu i szli przed siebie mocno przytuleni. Panowała uroczysta cisza, jak w kościele.

Kilka dni później pojechali do Lipska. Anna-Dora została na kilka tygodni u matki Ernsta Reimersa, z którą natychmiast znalazła nić porozumienia. Jasnowłosa Greta podobała jej się również. Młode narzeczone miały sobie niejedno do powiedzenia.

Klaus wrócił do Leśnego Dworu, ale po sześciu tygodniach przywiózł Annę-Dorę z powrotem do domu.

Ślub odbył się w waldburskim kościółku w pierwszych dniach marca. Po ślubie wyjechali do Włoch.

Święta wielkanocne spędzili w Rzymie. Na początku maja wrócili do Leśnego Dworu.

Oboje odnaleźli w sobie niewyczerpane pokłady radości życia. Pani Sonnanman promieniała tak samo jak młodzi ludzie szczęściem i radością. Gdy nadeszło lato, do Leśnego Dworu przyjechał Ernest Reimers razem z młodą żoną. Jego obraz został nagrodzony złotym medalem; Reimers był rzeczywiście duchowym następcą Alberta Hendrichsena.

Klause i Annę-Dorę łączyła z Reimersen i jego małżonką serdeczna przyjaźń, a pani Sonnemann z zachwytem wzięła pod opiekuńcze skrzydła parę przemitych gości.

KONIEC